



PRZYBYLIŚMY NA ZŁOT!

200.000 PRZODUJĄCYCH DZIEWCZĄT I CHŁOPCÓW SPOTYKA SIĘ W WARSZAWIE, ABY PODSUMOWAĆ SWOJE OSIĄGNIĘCIA W PRACY I NAUCE ORAZ ZAMANIFESTOWAĆ WOLĘ WALKI O DALSZE UMOCHNIENIE SIŁ NASZEJ OJCZYZNY

Fot. Z. Matek

**NIECH ŻYJE ZŁOT MŁODYCH PRZODOWNIKÓW —
BUDOWNICZYCH POLSKI LUDOWEJ!**

MŁODZI TECHNICY NA ZŁOCIE



CAF

Delegatami na Złot są m. in. przodujący słuchacze Technicum Mechaniczno-Pedagogicznego: Wiesław Jarzyński, Leonard Pernatowski oraz Bogusław Piekarski.

ROZPOCZĘŁY SIĘ ŻNIWA



CAF

W woj. łódzkim rozpoczęły się żniwa. Załoga PGR w Lesznie sprawnie obsługuje samobieżny kombajn produkcji radzieckiej. Kierowcą kombajnu jest K. Zapotoczny

CZŁONKOWIE ŚWIATOWEJ RADY POKOJU U PREZYDENTA PIECKA



CAF

Członków Światowej Rady Pokoju, która obradowała ostatnio w Berlinie, podejmował Prezydent Niemieckiej Republiki Demokratycznej — Wilhelm Pieck.

PIERWSZA SESJA P. A. N.



CAF

W Warszawie na I Sesji Zgromadzenia Ogólnego P.A.N. uchwalono wytyczne planu prac naukowych szczególnie ważnych dla rozwoju gospodarki i kultury narodowej.

SPORTOWCY POLSCY W AMBASADZIE CHIŃSKIEJ



W Ambasadzie Chińskiej w Warszawie odbyło się przyjęcie dla reprezentantów Polski w koszykówce, którzy udali się do Chin, gdzie rozegrają kilka spotkań.

NOWY AMBASADOR RP W CHINACH



Nowomianowany ambasador R.P. w Chinach — Kiryluk wręczył listy uwierzytelniające Przewodniczącemu Centr. Rządu Ludowego Chin, Mao Tse-tungowi.

W DRUGĄ ROCZNICĘ NAPAŚCI NA KOREE



CTK

Pradze odbył się wielki wiec czechosłowackich obrońców pokoju, na którym hwalono protest przeciwko bestialstwu amerykańskich agresorów na Korei.

KATASTROFA BRYTYJSKIEGO BOMBOWCA



Keystone

W okolicach Salisbury podczas ćwiczeń runął na ziemię bombowiec brytyjski rozbijając się całkowicie i niszcząc kilkanaście domów. Wiele osób zostało zabitych.

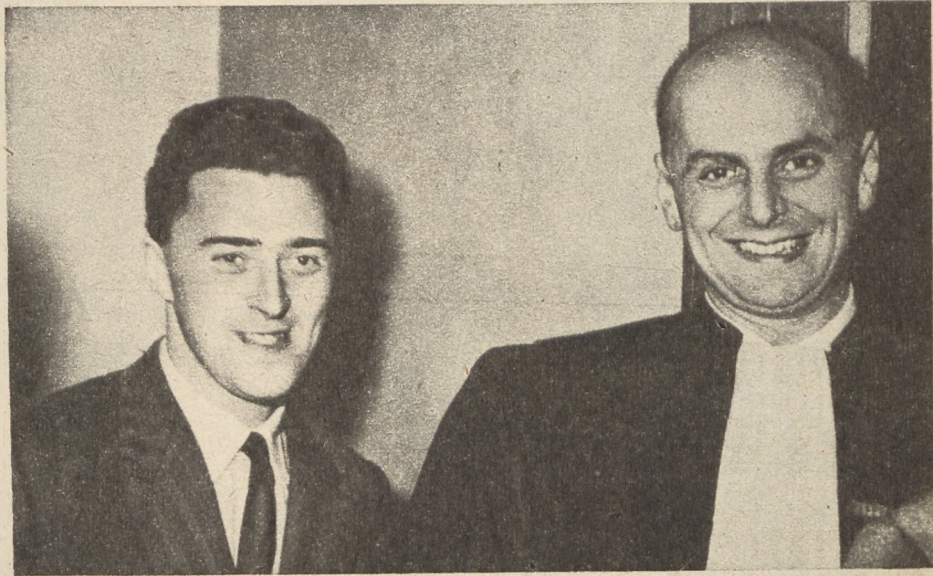
DR HEWLETT JOHNSON W PEKINIE



Dziekan Canterbury dr Hewlett Johnson przybył do Pekinu, aby zapoznać się z osiągnięciami narodu chińskiego. Gościa powitano z niezwykłą serdecznością.

Z CAŁYM NARODEM ŚWIĘCIMY RADOŚNIE ÓSMĄ ROCZNICĘ WYZWOLENIA I ŚWIĘTO KONSTYTUCJI POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ

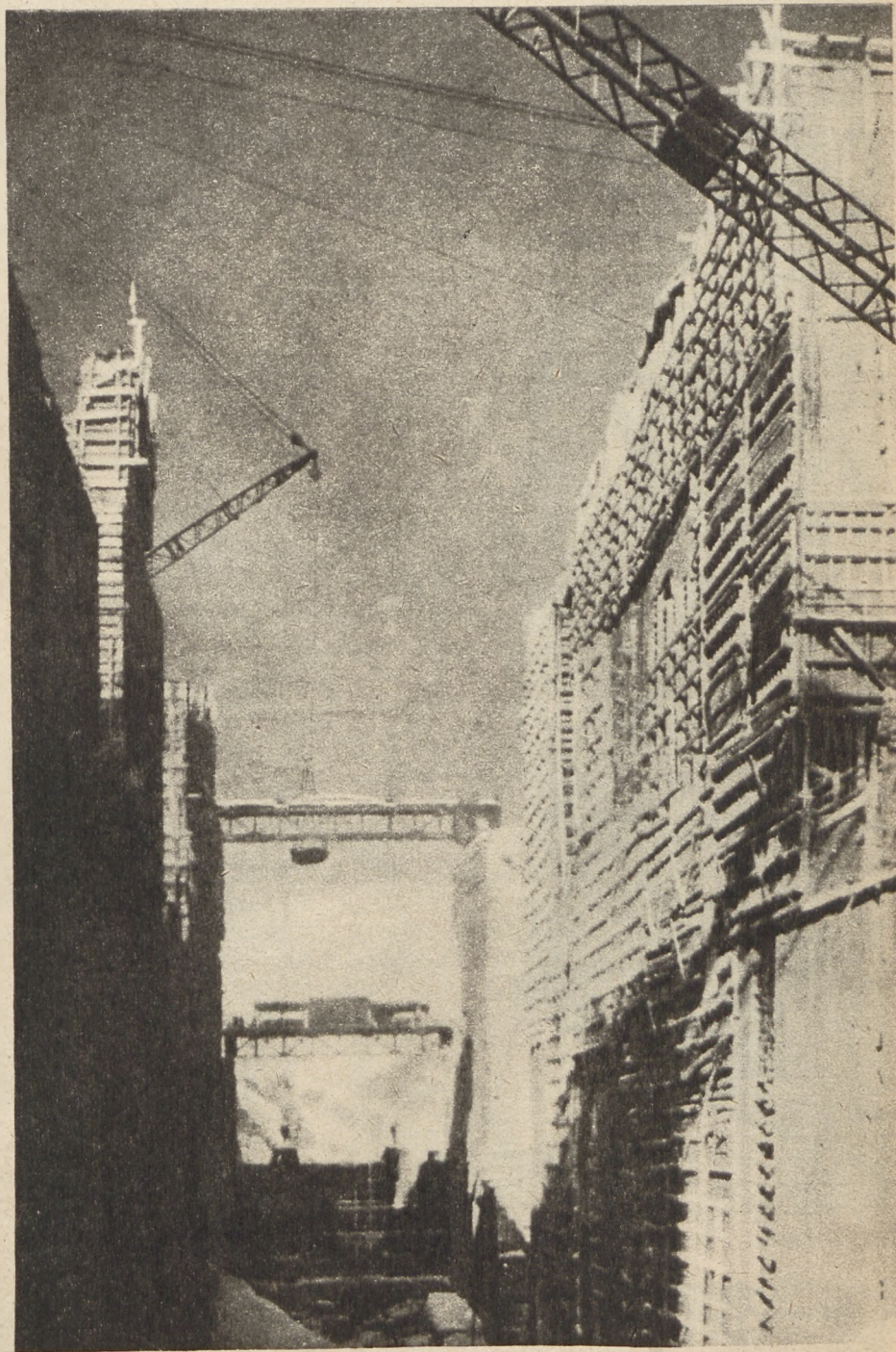
UWOLNIĆ ANDRÉ STILA!



UFP

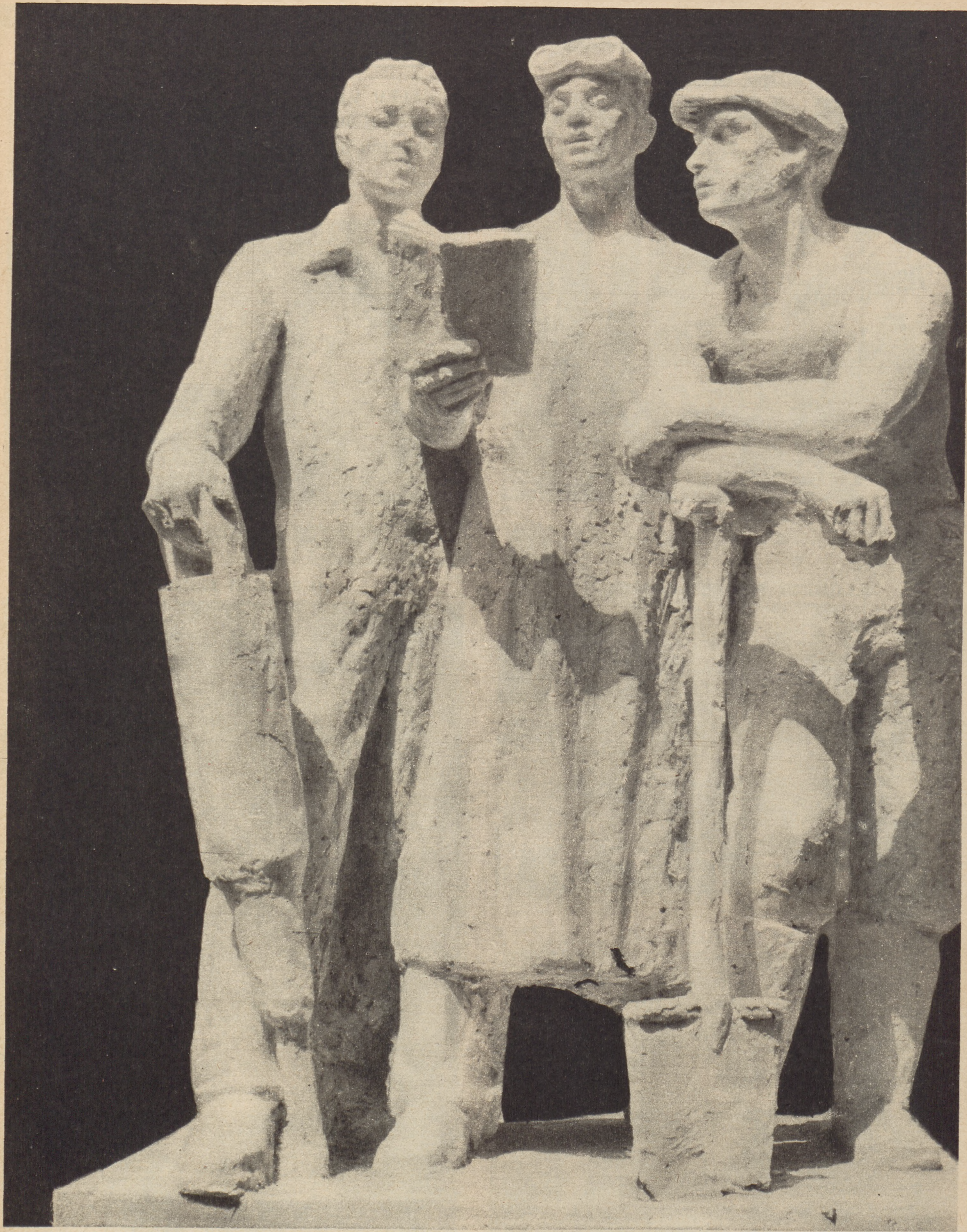
Na licznych zebraniach społeczeństwo francuskie żąda uwolnienia nieugiętego bojownika o pokój, André Stila (po lewej), którego broni wybitny adwokat Nordmann.

NA BUDOWLACH KOMUNIZMU



„Sowietskij Sojuz”

Na Irtyszu, jednej z największych syberyjskich rzek, powstaje elektrownia - gigant. Prace, pomimo trudnych warunków klimatycznych, posuwają się szybko naprzód.



Fot.: M. Kornicki

Projekt Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej dyskutowany był przez cały naród. Nie było Instytucji, dzielnic, miasta, wsi, nie było niemal człowieka, aby nie ogarnęła go ta dyskusja, w której rozpatrzono artykuł po artykule, punkt po punkcie. Po raz pierwszy w dziejach naszego państwa tak wszechstronnie zaznajomiono się z zasadniczą, główną ustawą kraju, decydującą o ustroju, prawach i obowiązkach każdego obywatela. Nowa konstytucja jest dziełem całego narodu i utrwała władzę ludu; jest to konstytucja prawdziwej, rzeczywistej demokracji. Tak wyobrazili ją również trzej młodzi członkowie ZMP, studenci Państwowej Wyższej Szkoły Plastycznej w Poznaniu: Kopczyński, Trzyszyński i Kasznia. Ich rzeźba p.t. „Dyskusja nad projektem Konstytucji” zdobi jedną z sal na wystawie zlotowej w Warszawie.

SPRAWY ŻYCIA I ŚMIERCI

„ŚWIAT“ wysłał swych współpracowników w teren, aby zobaczyli, jak przedstawia się jedna ważna życiowa sprawa w trzech wielkich obiektach przemysłowych — tych, które rzuciły wezwanie do tegorocznego Czynu Lipcowego. A oto ich relacje, utrwalone w notatniku Lucjana Wolańskiego i na błonie aparatu fotograficznego Władysława Sławnego. Relacje skonfrontowane są z doniesieniami z tych terenów, gdzie sprawy śmierci bardziej zaprzątają umysły ludzi niż sprawy życia.

(reportaż z manewrów atomowych, „Life“, 19 maja 1952 r.): „...żołnierze siedzieli w okopach, mając oczy wbite w ziemię, zwrócenie plecami do eksplozji. Powstali w kilka sekund po wybuchu — i owiały ich ocean dławiącego pyłu. Przez godzinę czekali zanim rzeczoznawcy Komisji Energii Atomowej przeprowadzili badania nad śladami radioaktywności. Gdy ich nie znaleźli, ruszyli przeciw teoretycznie zniszczonemu wrogowi...”

Siedzieliśmy wtuleni w ścianę, zupełnie po ciemku, przysłaniając oczy pod daszkiem ochronnego hełmu przed falą powietrza wprawionego w gwałtowny ruch siłą wybuchu. Po eksplozji, przeczekaliśmy przepisowy kwadrans. Kiedy powstał owionął nas gęsty тумan pyłu. Ruszyliśmy naprzód, gdzie na miejscu wybuchu leżały wielkie bryły węgla, które już po chwili ruszyły w długą drogę, jaka wiedzie z głębi kopalni aż do czekających na powierzchni ziemi pociągów towarowych.

Potem trzech ludzi ruszyło do dalszej pracy, posługując się trzema maszynami: wrębiarką, przenośnikiem zgrzeblowym i świdrem elektrycznym. Maszyny są nowe i ludzie też są nowi...

24 lata ma Stefan Latała, który odpowiada za pracę całej tej trójki ludzi i maszyn na przodku pokładu 501 kopalni Siemianowice. Na wsi w powiecie miechowskim pozostawił ojca — gospodarza na 1,9 ha i siedmioro rodzeństwa. Stefan był najpierw przewoźnikiem na promie. W roku 1947 zeszedł z promu na Wiśle na chodnik biegnący na głębokości równej 83 piętrami; drąg przewoźnika zamienił na łopatę. Ładowacz Stefan Latała

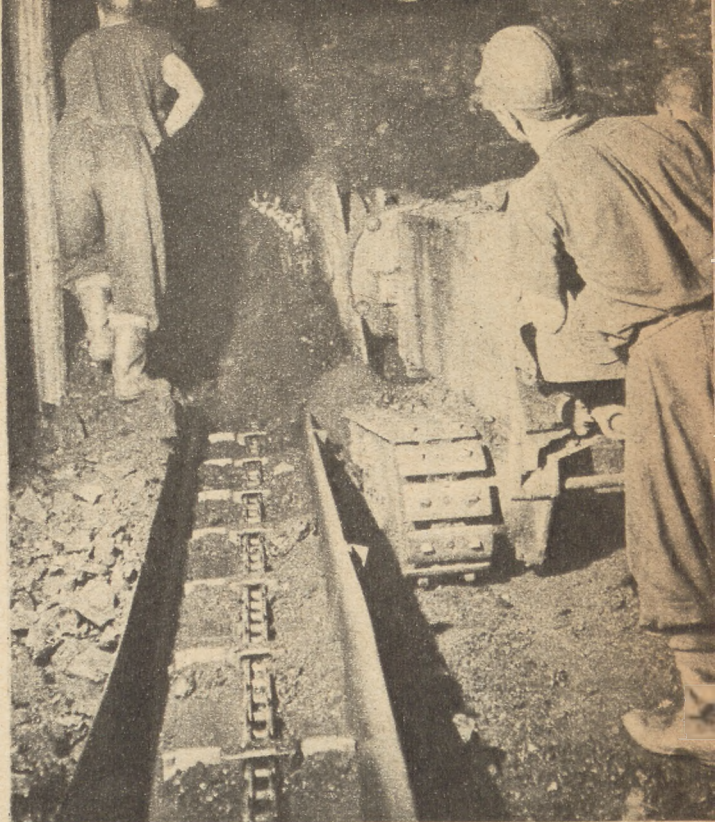


Stalowe zęby wrębiarki wżerają się w ścianę węgla, wykonując za człowieka jego dotąd najcięższą pracę.

patrzył uważnie, jak inni pracują: uczył się techniki strzelania od starych górników. Potem było 21 dni kursu fachowego. Latała już nie wróci na wies — ma teraz ulubioną, dobrze płatną pracę, i ma tu, na Śląsku, żonę, córkę reemigranta z Francji.

Calvados — to francuska wódka. Dla Wilhelma Nowińskiego, teścia Latały, słowo „calvados“ wywołuje raczej cierpkie skojarzenia. Przez 22 lata wydobywał we Francji — także i w Calvadosie — srebro, cynk, ołów i rudę żelazną. Drobinke tych kruszców tkwią teraz w płucach Nowińskiego, dławionych przez pylicę. Leczone go w Szczawnicy. Pracuje — tak jak mieszkający u niego zięć — w kopalni Siemianowice.

W ich domku położonym w osiedlu kopalnianym Bytków, bywają też i dwaj pozostali z tej trójki. Trudno ich poznać, gdy w mundurach, zmywszy z siebie pył węglowy, przychodzą do Latały. Marian Żelowski też jest ze wsi. Cała jego rodzina wciąż nie została w szybki rytm nowego życia w Polsce. Ojciec, który w powiecie Chełm Lubelski był kowalem wioskowym, dziś pracuje w papierni w województwie koszalińskim. Mariana też pociągnęło ku sobie miasto: w roku 1947 jako 16-letni chłopak wstępuje do Ochotniczego Batalionu



Głęboko pod śląską ziemią: trzech młodych ludzi przy wrębiarce, przenośniku zgrzeblowym i świdrze.



Stefan Latała ożenił się z córką pracującego również w Siemianowicach reemigranta z Francji — Nowińskiego.



Stefan Latała i Marian Żelowski przybyli niedawno ze wsi. Wraz z Gerhardem Wesolym, dają w ciągu dnia roboczego trzy wagony węgla kamiennego naszemu krajowi.

Odbudowy Warszawy. To był chrzest wiejskiego chłopaka nową techniką i stylem pracy. Wiele widział od tego czasu, ale to pierwsze wrażenie pozostało. Głęboko pod śląską ziemią, chłopak z lubelskiej wsi wspomina Warszawę. „Ja, wiecie, jechałem pierwszym tramwajem przez Nową Marszałkowską. Jakże tam teraz wygląda?” Marian Żelowski skończył w Szczecinie szkołę SPP i od roku 1950 jest ładowaczem. Zajął się nim inż. Parkiet. Dziś pracuje na przodku — i patrzy, uczy się. Patrzeć jest też wielką sztuką.

Wie coś o tym Gerhard Wesoly, który ze swymi 26 latami jest najstarszym z całej trójki. Ojciec, kolejarz z Siemianowic. Wesoly też był najpierw ładowaczem, też „patrzył” — a dziś prowadzi wrębiarkę, skomplikowaną, nowoczesną maszynę, która zmniejsza do minimum fizyczną pracę górniczą. „Trzeba mieć zainteresowanie, to się człowiek nauczy...” Nauczył się tak dobrze, że w zeszłym roku dostał Srebrny Krzyż Zasługi. Mówi: „Za darmo Krzyża by mi nie dali...” To prawda! Cała trójka robi teraz dwa wręby na jedną zmianę. I jacy to są zachłanni, ile to z nimi kłopotu! Podstawiaj im tu dzień w dzień po trzy węglarki, aby zmieścić to, co wydobyli.

Abyśmy mieli więcej takich „kłopotów”! Nie przypadkiem jedzie Latała na Złot do Warszawy, nie przypadkiem „dali Krzyż” Wesolemu...



Ludzie z hutniczej brygady Stefana Niećwiei, przeszkoleni w hucie „Dzierżyński” w Dąbrowie Górniczej dokonali dwóch szybkościowych wytopów w 8 godzin.

Balszy ciąg ze str. 5

(amerykański korespondent wojenny David Douglas Duncan opisuje w swej książce „To jest wojna!” jeden z pierwszych nalotów USA na Seul) ...inne samoloty nurkowały, zrzucając bomby zapalające, które zakwitły ognistym kwieciami płomieni. Biły w niebo potężne słupy ognia i dymu; wkrótce cała dzielnica była jednym paleniskiem...

Całe pole widzenia wyglądało jak jedno palenisko. Nieprzyzwyczajone oczy łzawiły od żaru i oślepiające białości rozwarłej czeluści martenowskiego pieca. Posuwistym, jak gdyby tanecznym krokiem, zbliżały się korowodem do otworu szare postacie hutników, dorzucające łopatami dołomity do warzącej się wewnątrz ognistej lawy. Drzwiczki pieca zamykały się. Ludzie ocierali pot z czoła i pili wodę z metalowego kubka — tak jak te pokolenia hutników, które tu przed nimi przez ponad sto lat pracowały w „Bankowej”, jak ci, którzy w roku 1905 słyszeli przemawiającego na dziedzińcu huty młodego agitatora Feliksa Dzierżyńskiego. Jego to imię nosi dziś stara „Bankowa”. A ludzie przyszli nowi — i tu, na miejscu, uczą się od starych hutniczej sztuki.

Jak jego ojciec — fornał u hr. Wielopolskiego w pińczowskim powiecie — tak i dzisiejszy pierwszy wytopiacz Stefan Niećwieja też najpierw „pracował przy kopalniach”. Po wojnie dopiero zjawił się w Dąbrowie Górniczej i spełniał proste prace w hucie. Mówi, że nigdy „nie bał się pieca”, że uczył się patrząc na pracę starszych wytopiaczy, a później — na kursach w samej hucie. Pracował wtedy normalnie, a dopiero po robocie spotykał się z innymi, chętnymi do nauki, w biurze stalowni. To nie jest tak łatwo, po dniu ciężkiej pracy, jeszcze przez 3 godziny mieć uwagę napiętą, ale Stefan Niećwieja bardzo się interesował techniką swych pieców. Były dwa kursy po trzy tygodnie każdy. Niećwieja uczył się pilnie i przemyślał to, czego go uczono. Jego brygada przeprowadziła teraz dwa wytopy w ciągu 8 godzin.

Niećwieja nie jest sam. Spustowy Maciej Piotrowski też jest z pińczowskiego; jego awans nie był tak szybki — inne to były czasy, gdy w 1911 roku przybył do Dąbrowy Górniczej, zostawiając „matkę-służącą we dworze”. Najpierw więc pracował na kopalni. Potem nie było pracy — wrócił na wieś. Złe mu tam było z dala od Zagłębia — więc znowu szukał szczęścia i od 1925 roku pracuje przy piecu. Mówi z przejęciem o swej pracy. „Nie o to tylko idzie, aby nam szło — trzeba też wszystko dobrze przygotować dla następnej zmiany...” Słucha tych słów jego uczeń, Stanisław Płaszewski,

przybyły niedawno ze wsi powiatu miechowskiego. W szerokim pojęciu on też zalicza się do tej „następnej zmiany”, dla której Piotrowski chce „przygotować wszystko dobrze”, jemu to przekazuje w codziennej pracy owoce 27 lat doświadczenia.

Brygada Niećwiei powstała z inicjatywy II wytopiacza Henryka Krajewskiego, który od najmłodszych lat żył życiem huty. Huta wychodziła mu naprzeciw w codziennych opowiadaniach, zasłyszanych w domu. Należy do trzeciego pokolenia hutników — ojciec ojca był giserem, a ojciec matki — białym murarzem. Zawodu nauczył się w hucie. Brat jest w szkole oficerskiej

a drugi pracuje w planowaniu, w MHD w Będzinie. Maszynista wsadzarkowy, Henryk Kowalski, również „jest z huty”. Przy innym piecu pracuje jego brat, a ojciec jeździ na kranie. Kowalski nauczył się swej sztuki od Sztynnego — starego, doświadczonego maszynisty.

Józef Suliga, żużlarz, pochodzi z rodziny bezrolnego chłopca z powiatu Jędrzejów. Ma pięcioro rodzeństwa. Teraz rodziną jest mu brygada — jest ich też prócz niego — pięcioro; nawzajem sobie pomagają, stanowią zwartą grupę. Ich dzieło? Przez jeden rok dają krajowi tyle stali, ile trzeba by było do wyprodukowania szyn kolejowego szlaku łączącego Gdynię z Olsztynem.



Szybko schodzą z taśmy „Ursusa” nowe traktory dla wsi, gdy pracuje Zdzisław Miczuga ze swoją brygadą

Wszyscy jadą na Złot do Warszawy. A Piotrowski? — zapytacie. Jemu to się szczególnie należy mimo jego 56 lat; Piotrowski jest z młodymi wtedy kiedy trzeba ich uczyć — powinien być z nimi i wtedy, kiedy iść będą w jednym szeregu z najlepszymi z najlepszych.

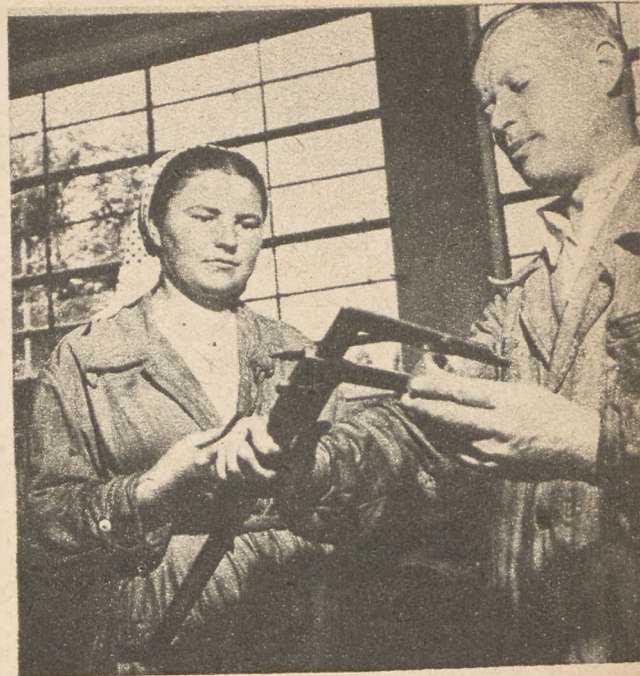
(depesza „Associated Press“ zamieszczona w przededniu masakry na Koźdo i opatrzona przez dziennik „New York Herald Tribune“ tytułem: „Czołgi czekają na znak generała Boatnera, by rozbić 80 tysięcy komunistów“). Czołgi rozwalily ściany pustego budynku, który według założenia przeprowadzanych ćwiczeń, kryje opornych komunistów.

My też byliśmy obecni przy próbach sprawności motoru i podwozia. Mogło się to nawet dla nas źle skończyć, gdyż robotnicy z kontroli fabrycznej wyjeżdżają całym pędem tyłem z hali na traktorach — aby pobrykać na nich na miejscowej ujeżdżalni. Próba zmierza do ustalenia, czy traktor będzie dobrze ciągnął plug w polu albo przyczepkę na szosie, czy nie ma jakichś felerów, czy może iść na wieś. Robotnicy z kontroli spieszą się — gdyż tym przy taśmie też jest spieszno. Przy tej taśmie poznaliśmy Zdzisława Miczugę, który pochodzi ze wsi w powiecie Września, kieruje brygadą młodzieżową wykonującą stale ponad 300% normy. Jak osiągnąć jego umiejętności? — oto jest pytanie!

Otóż operując słownictwem z fabryki traktorów, Miczuga jest już niemal że wykończonym „dziełem“, niemal że znajduje się u wylotu taśmy. A jak wygląda jej początek? Znajduje się on w pobliskiej hali, gdzie majster Wacław Korzeb ustawił różne maszyny — takie same, jakie używane są w normalnej produkcji. Stoi też tam tablica i ławki — jak w szkole. Ludzie „prosto ze wsi“ uczą się obsługi maszyn i umiejętności stosowania narzędzi, uczą się rysunku, uczą się organizacji i dyscypliny warsztatu, zapoznają z przepisami bezpieczeństwa i higieny pracy i dowiadują się, jaka jest rola Rady Zakładowej i organizacji partyjnej PZPR. Jest to jak gdyby abecadło robotnika fabrycznego. Szkoła produkuje na swych maszynach normalne części produkcyjne używane przez fabrykę. Nie wymaga się oczywiście od ucznia nawet w przybliżeniu takiej szybkości pracy, jak od fachowego robotnika, ale zawsze pracuje on w świadomości, że jego „klasówka“ po dokładnej

„ocenie“ przyda się jako część składowa traktorów — tych maszyn, które pójdą na wieś — może właśnie jego rodziną! Przez „taśmę“ majstra Korzeba przechodzi do 70 ludzi miesięcznie. Korzeb, który pracuje w przemyśle od 1927 roku, powiedział: „Dawniej, to stawiano człowieka przy maszynie i albo się nauczył albo nie. Teraz staramy się wszyscy, aby mu pokazać maszynę i wyłożyć jej znaczenie — jak ciężko idzie, to w najgorszym razie powtarza kurs jeszcze raz“.

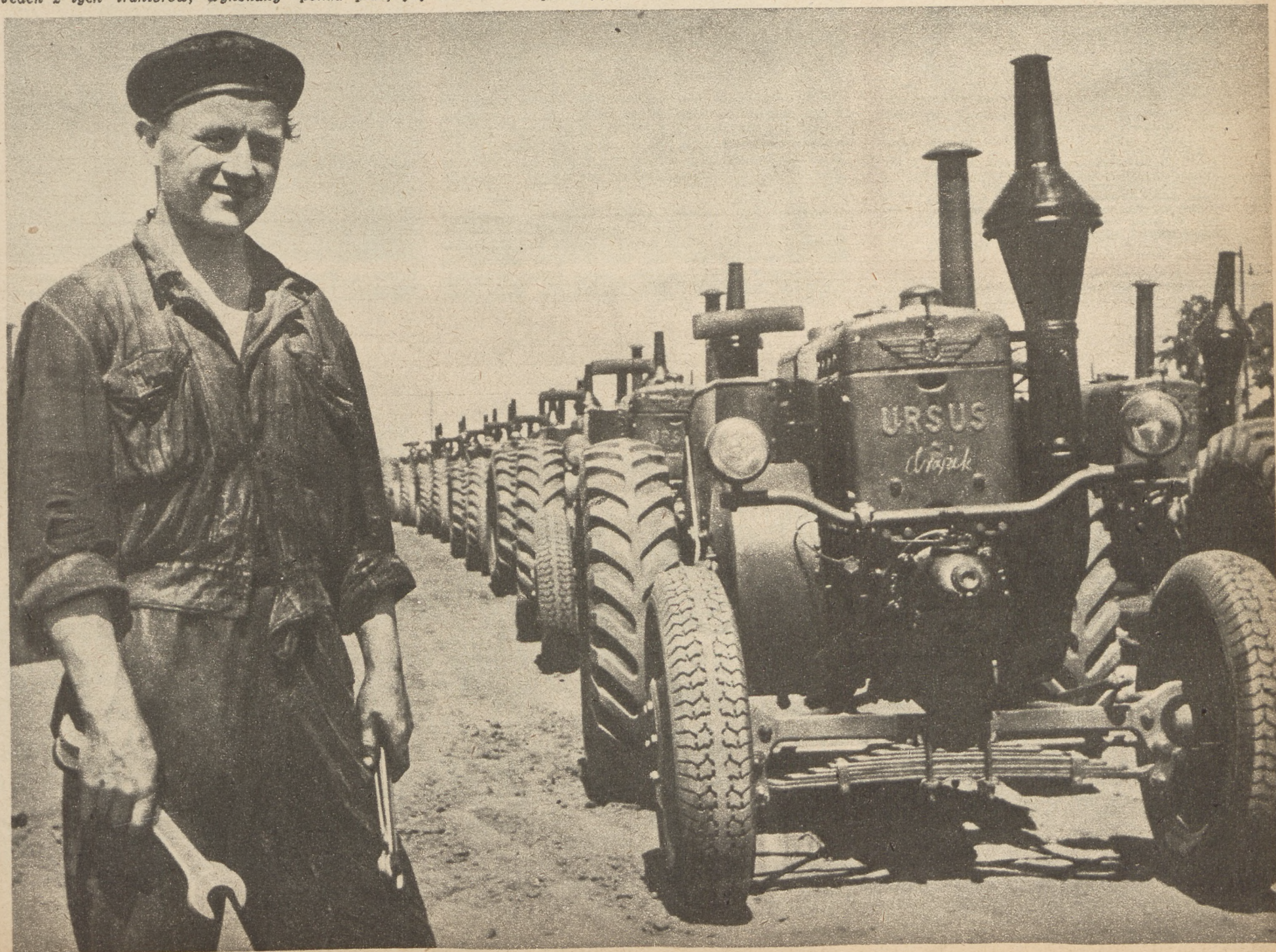
„Zapewnienie siły roboczej dla zakładów nie sprowadza się tylko do zatrudnienia nowych i siłą rzeczy niewykwalifikowanych robotników. Przemysł nasz rozwija się nie tylko ilościowo, ale rozwija się i jakościowo. Powstają nowe gałęzie produkcji, rozszerza się zakres produkcji skomplikowanych przyrządów i urządzeń wymagających wyjątkowych kwalifikacji, dokładności i precyzji w pracy. Coraz więcej mamy w naszej gospodarce nowej techniki, wymagającej dokładnej i kwalifikowanej obsługi. Wszystko to wymaga nie zapewnienia siły roboczej w ogóle, lecz zapewnienia siły roboczej kwalifikowanej, kulturalnej, mogącej skutecznie posługiwać się nową techniką i umiejscowiać od tej techniki wszystko, co ona dać może. Wiemy, że do gospodarki narodowej poza rolnictwem w ostatnich latach napłynęły miliony ludzi, którzy dotychczas nie pracowali i dotychczas kwalifikacji nie posiadali. Sprawa wyszkolenia tych ludzi staje się obecnie sprawą decydującą o możliwości dalszego rozwoju naszej gospodarki, a przemysłu w szczególności. Tymczasem w bardzo jeszcze poważnym zakresie metody szkolenia wewnątrzzakładowego mają u nas charakter chałupniczy, który w wielu wypadkach przypomina stare, kapitalistyczne porządki, kiedy to ludzi nie szkolono i nie uczono, a trzymano latami na podrzędnych stanowiskach, chroniono przed nimi tajemnice zawodu, kiedy wobec nadmiaru siły roboczej i ciągłego kryzysu produkcyjnego nie spieszo się — bo nie było się po co spieszyć — z nadaniem im odpowiednich kwalifikacji i wysunięciem na kwalifikowaną pracę. Pewne poważniejsze zmiany na lepsze w tym zakresie zachodzą dopiero ostatnio.“



Krystyna Natora przybyła z podradomskiej wsi. W warsztatach szkolnych fabryki traktorów „Ursus“ zdobywa pod kierunkiem majstra Wacława Korzeba wiedzę fachową, która zapewni jej dobrze płatną pracę na miejscu.

To jest jedna ze spraw naszego życia, przedstawionych na VII Plenum KC PZPR przez Prezydenta Bierut. Chcieliśmy tę sprawę pokazać — jak też wygląda ona w trzech wielkich zakładach, które należą do przemysłu przemysłów i dają węgiel, stal i traktory. Chodzi teraz o wielką rzecz, albowiem — jak powiedział Prezydent Bierut — „zagadnienia szkolenia bez oderwania od pracy, wyuczenia zawodu i podniesienia kwalifikacji, stają się więc w stosunku do młodzieży szczególnie palącymi i ważnymi. Trzeba, żebyśmy to wszyscy dokładnie zrozumieli, trzeba w nowej sytuacji pracować po nowemu“.

Jeden z tych traktorów, wykonany ponad plan, pojedzie teraz z przodującą młodzieżą „Ursusa“ na Złot Młodych Przedowników do pobliskiej Warszawy.



LIST DO DZIECI W ZAGRODNIĘ

Kochani młodzi Przyjaciele!

Tym razem postanowiłem napisać do Was list otwarty, a więc taki, który przeczytać może każdy, kto ma na to ochotę. Redakcja Tygodnika Ilustrowanego „Świat” zgodziła się list mój do Was wydrukować i, co więcej, ozdobić go pięknymi fotografiami, zrobionymi przez znanego Wam fotoreportera, Wiesława Prażucha.

Zacznę oczywiście od początku.

A więc znamy się już blisko rok.

We wrześniu 1951 r. otrzymałem po raz pierwszy list w niebieskiej kopercie, na której odwrotnie wypisany był nadawca:

VI klasa Szkoły Podstawowej
Zagrodno, pow. Złotoryja
woj. Wrocław

Prosiłście o dalsze wiadomości o Szpakach z FDJ, o których pisałem w książce o „Młodych Niemczech”. Odpisałem natychmiast i wkrótce dostałem następny Wasz list, a w nim zdanie, które zadziwiło mnie bardzo:

„Przyznać się musimy, że nie spodziewaliśmy się odpowiedzi, bo starsi nie chcą dzieciom odpowiadać”.

Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że w tym samym czasie mieliście ze starszymi trochę zmartwień. Była akcja skupu zboża. W Zagrodnie nie wszędzie szła ona do-

brze, więc Wy, jako harcerze, postanowiliście trójkami chodzić po wsi i przekonywać niechętnych. Starsi — jak mi później opowiadano — przeważnie nie chcieli z Wami w ogóle rozmawiać, a niektórzy grozili nawet dobraniem się do Waszej skóry.

Było to oczywiście duże nieporozumienie, które wyjaśniło się wkrótce, choć szumu w Zagrodnie, a nawet Złotoryi było z tego powodu wiele. W każdym bądź razie Wasza akcja odniosła skutek, bo zboże ostatecznie zostało w terminie. Poza tym otworzyły się oczy niektórym gospodarzom, którzy dotąd nie widzieli związku między troską Waszą o chleb dla miast a Waszymi marzeniami o dalszej nauce w miastach.

Oczywiście, Wasza zasługa była w tym tylko pośrednia i nic nie miała wspólnego z przysłowiowym jajkiem, co chce być mądrzejsze od kury. Po prostu w innych warunkach wychowali się i wyrosli Wasi ojcowie, a w innych Wy. Dla starszych miasto do niedawna — ściśle do czasów Polski Ludowej — to był główny wróg wiejskiej biedoty. Miasto brało wysokie podatki, a płacono grosze za produkty rolne. Nędza i głód częstymi byli gośćmi w Waszych ojców chatkach w Tarnopolczyźnie. Na przednówku — jak mi opowiadali Wasi bliscy — nieraz z głodu ludzie puchli. W czasie wojny było jeszcze gorzej. Faszysti niemieccy i ukraińscy rabowali, podpalali chaty, mordowali. Te lata już pamiętacie. W listach Waszych, w życiorysie każdego z Was powtarza się stale wspomnienie tamtej złej przeszłości.

W klasie jest Was czternaścioro, a z tego Wiesio Pietrowski nie ma ojca, Janka Cichočka matki, a Genia Filus i Hania Łuźna nikogo z rodziców. Zginęli z rąk faszystów niemieckich i ukraińskich w czasie okrutnej wojny.

Grześ Zarzycki urodzony w 1938 r. w Baryszu pow. Buczacz, tak mi pisał: „Nie było nam tam dobrze, przechodziliśmy nędzę i głód”. A brat Grzesia, Michaś, dodaje: „Ziemi mieliśmy bardzo mało. Trzeba było co kupić, to nie było skąd wziąć pieniędzy”.

Pisaliście mi: „Dobrze nam teraz tutaj na Ziemiach Odzyskanych. Mamy ładne domy, światło, nasze krówki i koniki mają wygodę również. Szkołę mamy śliczną, piętrową, radiofonizowaną”.

Widziałem Zagrodno. Podziwiałem Waszą naprawdę śliczną szkołę i wspaniałe murowane domy i zabudowania gospodarskie i dostatek, który widoczny jest wszędzie i w ubiorach i w wyglądzie mieszkańców Zagrodna. Od 1945 roku nikt w Zagrodnie nie wie, co to głód, chyba że wspomnieniami na chwilę przywróci złą przeszłość.

Rodzice Wasi i krewni trzydziści, czterdziści, pięćdziesiąt lat swego życia spędzili w większości w biedzie i niedostatku, bez elektrycznego światła, bez możliwości kształcenia się. Dla Was tamten okres zamknął się na zawsze w trzech, czterech, pięciu latach najwcześniejszego dzieciństwa. Spośród bliskich Wam star-

szych nie ma bodaj nikogo, kto kiedyś w życiu mógł o sobie napisać to, co Frania Bednarz:

„Mam dobre warunki do nauki i nie mam żadnych trudności”.

Albo to, co pisała mi Hela Bryłkowska:

„Dziś mogę się uczyć, mam czas i warunki do nauki”.

Albo to, co pisała mi Krysia Bałewicz:

„Dziś mogę się uczyć w jasnym, oświetlonym i radiofonizowanym budynku”.

Czy wreszcie to, co Wiesio Pietrowski z dumą mi obwieścił: „Na wakacje pojedziemy na wycieczkę nad morze. Bardzo się cieszę, że zobaczę polskie morze”.

Spośród bliskich Wam Starszych nie ma też bodaj nikogo, kto by w swoim szkolnym czasie mógł tak odpowiadać, jak Wasi koledzy i koleżanki z VII klasy przy rozdawaniu świadectw ukończenia Podstawowej Szkoły:

— Ja idę do Liceum Pedagogicznego. Będę nauczycielem.

— Ja idę do Szkoły Bibliotekarskiej. Będę bibliotekarką.

— Szkoła Morska. Będę marynarzem.

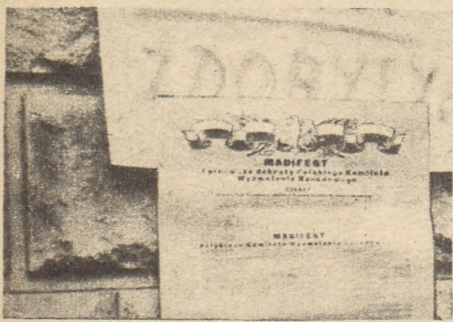
— Liceum Ogólnokształcące. Będę inżynierem.

— Szkoła Rolnicza. Będę agronomem.

— Ja będę przedszkolanką.

— A ja lekarzem!

W ten sposób odpowiada już czwarty rocznik, który wychodzi z zagrodnieńskiej szkoły i wiecie, że wszyscy Wasi starsi koledzy i koleżanki rzeczywiście uczą się już w miastach zawodów, które sobie wybrali. Za rok Wy pójdziecie ich śladem.



święto Odrodzenia — to dzień, w którym co roku sumujemy nasze osiągnięcia, a zarazem wytyczamy sobie nowe, ambitne zadania. I gdy 22 lipca patrzymy wstecz na przebytą drogę od historycznego Manifestu PKWN, który stworzył warunki do niepowstrzymanego rozwoju naszego kraju, to mamy świadomość, że każdy nasz rok posuwa nas naprzód o dziesięciolecie, że coraz silniejsza jest Polska, że coraz pewniej zabezpieczamy przyszłość naszą i naszych dzieci.

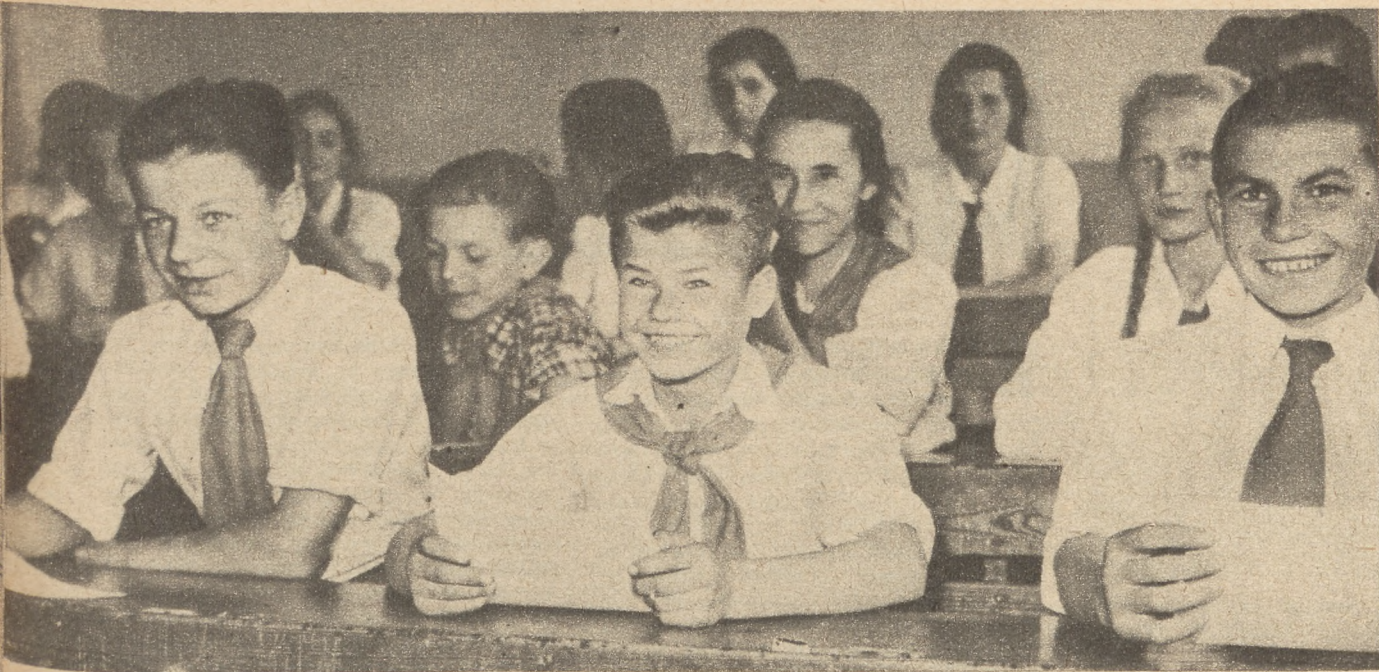
(BOLESŁAW BIERUT)



Dzieci z Zagrodna uczą się dobrze. Kiedy dorosną umacniać będą swoją pracę spójnię wsi i miast.

ZŁOT ZŁOT ZŁOT ZŁOT ZŁOT ZŁOT ZŁOT ZŁOT ZŁOT ZŁOT ZŁOT ZŁOT





Rozdanie świadectw szkolnych — to wesóły i podniosły dzień. Potem na zasłużony wypoczynek — na wakacje!

Kiedy pierwszy raz byłem u Was w połowie maja, obiecałem, że wkrótce znów do Was napiszę. Tymczasem praca nad opowiadaniem o malajskim chłopcu pochłonięła mnie tak bardzo, że, wstyd przyznać, nie znalazłem wolnej chwili na list do Was. Wtedy otrzymałem od Was z górą pół tuzina listów z zapytaniem, co mi się nie podobało, że milczę. Stach Ratuszniak napisał: „Bardzo przepraszamy za wszystko nieudane, ale my jesteśmy wiejskie dzieci”. A Marysia Nowak dodała: „Wiedziałeś, Przyjacielu, że to jest wiejska szkoła, to cudów nie będzie”.

Bardzo się zawstydzilem, bo bardzo mi się u Was podobało, a co do tych „cudów”, to wiercie mi, Kochani, że wszystko, co dziś jest treścią Waszego życia, jest

cudem nie lada. Ani się spostrzeżliście, a zrobiliście skok o sto co najmniej lat. Ktoś ze starszych — za drugim moim pobylem — zrobił nawet taką uwagę: „Niestety, dzieci nie zdają sobie sprawy, jakie to dawniej było życie wiejskiej diatwy”.

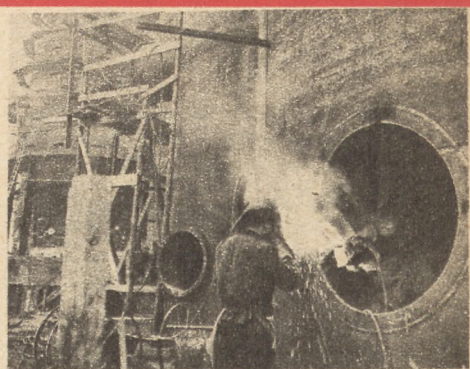
Stałem w Waszej obronie. Uczycie się dobrze i wszyscy chcecie się dalej kształcić, a zatem dobrze rozumiecie przemianę. Zła przeszłość minęła i nie może powrócić. Przepaść między wsią a miastem zmniejsza się z roku na rok poprzez coraz silniejszy sojusz robotniczo-chłopski. Wy, gdy dorośnięcie, będziecie swoją pracą umacniać dalej tę spójnię wsi i miast, która jest jednym z głównych fundamentów ustroju ludzi wolnych — ustroju socjalistycznego.



Najpiękniejsza była chwila wręczenia krawatów i legitymacji ZMP-owskich harcerzom i harcerkom VII klasy.



sy. Rodzice ich spędzili dzieciństwo w ciemności i niedostatku — oni uczą się już w dobrych warunkach



Dzięki szybkiemu rozwojowi przemysłu socjalistycznego już w roku bieżącym wskaźnik wzrostu produkcji przemysłu wielkiego i średniego, jeżeli chodzi o wartość globalną, przekroczy przeszło trzykrotnie poziom przedwojenny, a w przeliczeniu na jednego mieszkańca w roku bieżącym osiągamy poziom przeszło czterokrotnie wyższy niż w okresie przedwojennym. (BOLESŁAW BIERUT)

Do minionego złego czasu wracając myślą tylko wtedy, kiedy spotkacie na swej drodze ludzi, nie rozumiejących Waszej radości z dnia dzisiejszego. Natomiast w przyszłość wybiegając myślą co dzień. Prawo do marzenia jest Waszym najpiękniejszym prawem w czasie, kiedy marzenia wszystkich minionych polskich pokoleń stają się rzeczywistością. Nawet o podróży na księżyc możecie marzyć, bo w Waszym życiu i to marzenie będzie na pewno zrealizowane.

Rozpisałem się, a tu nic jeszcze nie powiedziałem, jak mi się podobała uroczystość zakończenia Waszego roku szkolnego.

Otóż, bardzo, bardzo, bardzo. Nie chcę Was wbić w dumę, ale popisy Wasze były równie piękne, jak te, które widziałem w szkołach podstawowych w dużym mieście. To był już Wasz dorobek w zacieraniu różnicy między wsią a miastem. Ani cywilizacja, ani kultura nie jest już dziś w Polsce monopolem dworów, will, kamienic, lecz wspólnym dobrem wszystkich ludzi pracy w każdym osiedlu. Mówił zresztą Wam o tym Sekretarz Komitetu Gminnego Partii, tej Partii, która skierowała nasz kraj na drogę zwycięskiego socjalizmu.

Najpiękniejsza była chwila, kiedy odchodzący ze szkoły harcerze i harcerki VII klasy otrzymywali legitymacje i krawaty ZMP-owskie. Sądję, że za rok cała Wasza czternastka też zdobędzie prawo noszenia oznak ZMP.

Pokłońcie się pięknie Waszym bliskim, a szczególnie Waszej Kierowniczce, ob. Marii Nyczowej, i Waszej Nauczycielce, ob. Paulinie Dembickiej.

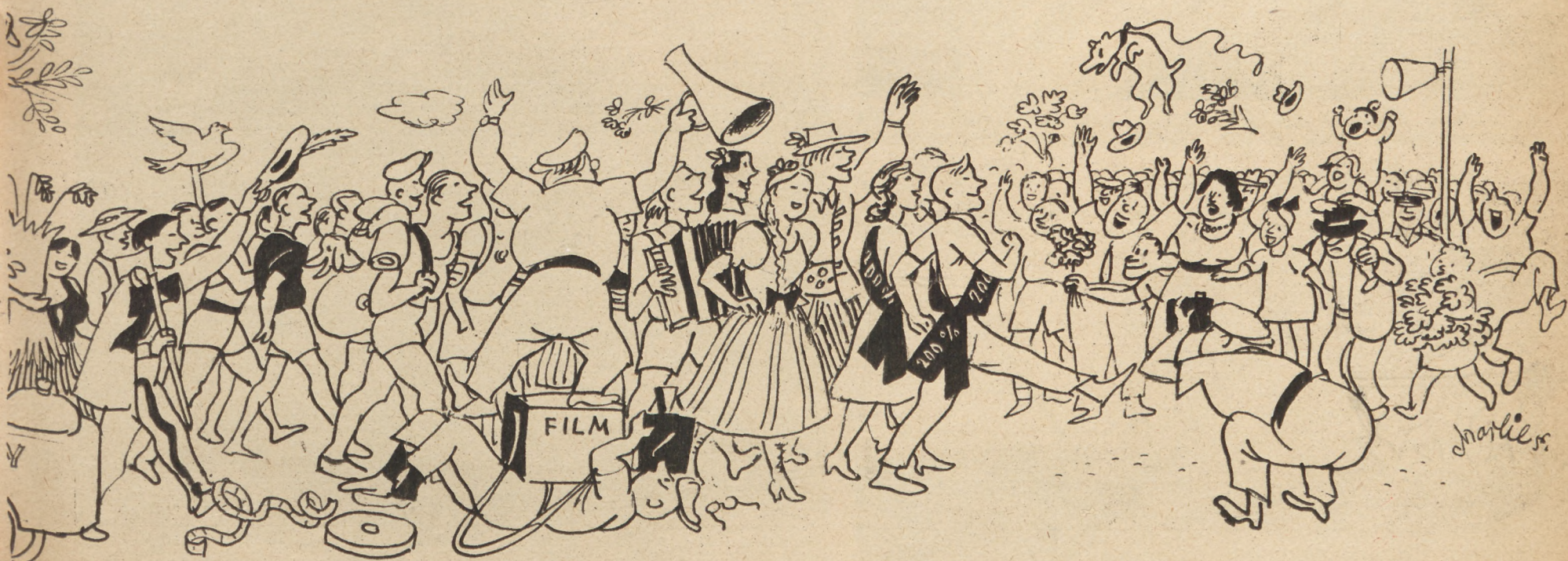
Was, Drodzy Przyjaciele, każde z osobna, a więc Krysię Balewicz, Franiek Bednarz, Hele Bryłkowską, Janek Cichocką, Genię Filus, Hanię Łużną, Marysię Nowak, Stacha Janczyszyńską, Stacha Ratuszniaka, Wiesia Pietrowskiego, Józka Skibę, Grzesia i Michasia Zarzyckich, pozdrawiam Waszym harcerskim pozdrowieniem: W walce, pracy i nauce — czuwaj!

Do usłyszenia po wakacjach!

Wasz

Edmund Jan Osiewicz

ZŁOT ZŁOT ZŁOT ZŁOT ZŁOT ZŁOT ZŁOT ZŁOT ZŁOT ZŁOT ZŁOT



MŁODE SKRZYDŁA POLSKI LUDOWEJ

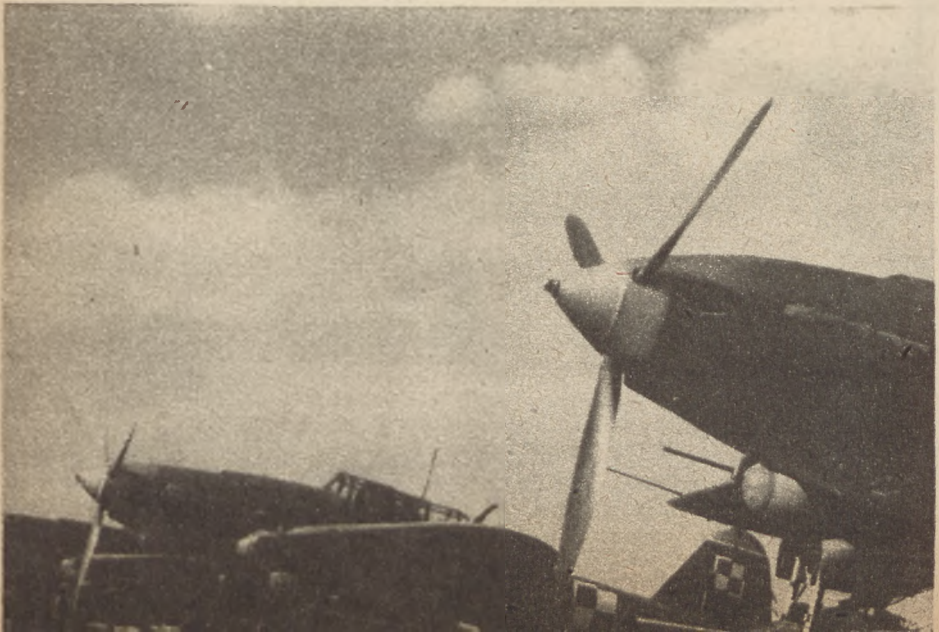


Na straży naszego budownictwa socjalistycznego, naszej niepodległości stoją również wojska lotnicze wyposażone w doskonały radziecki sprzęt.



Najmłodsi lotnicy - modelarze poznają w modelarniach Ligi Lotniczej tajniki konstrukcji samolotów. Wielu z nich zostanie konstruktorami lotniczymi.

Na takich maszynach wystartowali w 1944 roku pierwsi piloci Odrodzonego Lotnictwa Polskiego, wyszkoleni w latach wojny na gościnnej ziemi radzieckiej.



WRAZ z całą polską młodzieżą przygotowująca się do Zlotu również i polska młodzież lotnicza. W aeroklubach, modelarniach, ośrodkach treningowych Ligi Lotniczej wrzała wytężona praca, toczyła się zacięta rywalizacja o miano najlepszego pilota, przodującego mechanika, najlepszego instruktora. Sport lotniczy jest bowiem w Polsce Ludowej sportem młodzieńczym. Państwo udostępniło każdemu, kto tylko ma odpowiednie warunki zdrowotne i gorącą chęć zostania pilotem, całkowicie bezpłatne, powszechne i masowe szkolenie lotnicze. Chłopcy i dziewczęta mają do swej dyspozycji w aeroklubach najlepszy sprzęt, doskonale wyszkolonych instruktorów i wszelkie warunki do zdobywania wyszkolenia lotniczego wszystkich stopni.

Nic też dziwnego, że polskie lotnictwo sportowe, w szczególności zaś szybownictwo, stoi wraz z lotnictwem radzieckim w czołówce światowej. Dość powiedzieć, że mamy dziś już dwóch posiadaczy najwyższego odznaczenia szybowcowego — złotej odznaki szybowcowej z trzema diamentami (Tadeusz Góra, pierwszy na świecie posiadacz tej odznaki i Ryszard Bitner). Polscy szybownicy posiadają w chwili obecnej trzy rekordy międzynarodowe, tabela zaś rekordów krajowych wypełniona jest wynikami bardzo zbliżonymi do rekordów międzynarodowych. Osiągnięcia na zeszłorocznych Krajowych Zawodach Szybowcowych w Inowrocławiu i tegorocznych w Poznaniu są lepsze niż w jakichkolwiek dotąd zawodach szybowcowych na świecie. Wprowadzono nawet nowe, nieznane i nieosiągalne w krajach kapitalistycznych konkurencje, jak np. grupowy przelot docelowy na odległość 300 km., czy akrobacja szybowcowa. Zwycięzcy tegorocznych zawodów — Wojnar, Rusek, Popiel — będą brać udział w pokazach lotniczych podczas Zlotu. Na pewno będzie na co popatrzyć!

Ale nasze lotnictwo sportowe nie ma nic wspólnego z „błękitnym szaleństwem”, jak nazywano je przed wojną. Dziś piloci i mechanicy, pragnąc odwdziżyć się państwu za pomoc i opiekę, biorą ochotniczo udział w różnych akcjach na rzecz gospodarki narodowej. Najczęściej stosowaną formą jest opylanie przy pomocy samolotów pól spółdzielni produkcyjnych i PGR-ów lub lasów. Samolot rozsypując specjalny proszek owadobójczy chroni kultury ziemniaczane przed rozprzestrzenianiem się stonki, a lasy przed groźnymi szkodnikami — osnują i barczątką. Loty podczas opylania odbywać się muszą na niewielkich wysokościach, z reguły w bardzo trudnych warunkach, wymagają więc bardzo wysokich kwalifikacji pilotów. Z dumą możemy powiedzieć, że za przykładem lotników radzieckich, którzy zastosowali opylanie po raz pierwszy, piloci nasi pełnią na tym odcinku coraz lepiej swą służbę dla gospodarki narodowej.

Lotnictwo sportowe bierze również udział w transporcie sanitarnym, wykrywa i zwalcza pożary lasów, jest środkiem łączności w nagłych wypadkach. Ale przede wszystkim nasze ludowe lotnictwo wychowuje. Wychowuje setki i tysiące młodych, ofiarnych i doskonale wyszkolonych pilotów, którzy w razie potrzeby potrafią sięgnąć za sterem samolotu wojskowego i bronić spokoju naszego nieba. Wychowuje oddanych Polsce Ludowej pilotów, mechaników i instruktorów, uczy umiłowania własnego kraju.

Młodzi lotnicy witają Zlot nowymi, wspaniałymi osiągnięciami w swym wyszkoleniu lotniczym i z lipcowego nieba przesyłają swym towarzyszom na ziemi piosenkę stalinowskich sokołów, znaną i śpiewaną dziś przez wszystkich lotników — od Odry do Żółtej Rzeki: „Naszym skrzydłom na imię — Pokój! Nasz start nazywa się — Zwycięstwo!” (wig)

Ze względu na warunki meteorologiczne — opylanie lasów z samolotu rozpoczyna się bardzo często jeszcze przed wschodem słońca, albo równo ze świtem.

Fot.: Koszewski



Lipcowe dni

— Zawieziemy was do stołówki, siadajcie, maszyna czeka! — zawołał zbliżając się do nas młody chłopiec z gwiazdką podporucznika na lotniczym mundurze.

— Do stołówki? — zdziwiło się parę głosów — nie jesteśmy głodni, chcielibyśmy się przede wszystkim dowiedzieć...

— Dobrze, dobrze, wszystkiego się dowiecie — śmiał się dalej lotnik — właśnie w stołówce. Siadajcie!

Nie namyślając się dłużej cała grupa rozsiadła się w otwartej ciętarówce i w chwilę potem z terenu lotniska skręciliśmy na szosę prowadzącą do Lublina.

Właściwie nie należało się niczemu dziwić. Był lipiec 1944 roku. Jeszcze dwa tygodnie temu ziemie Zachodniej Białorusi gnioty hitlerowskie czołgi. Po oswobodzeniu tych terenów przez Czerwoną Armię, radziecki samolot omijając front przerzucił nas okreśną drogą na pierwszy skrawek wolnej ziemi polskiej — do Lublina.

Wolna Polska... trudno było w roku 1944 ogarnąć w pełni znaczenie tych słów. Liczyliśmy dzień przyjscia wolności każdym krokiem radzieckiego żołnierza na drodze od Stalingradu, i oto — Lublin, tymczasowa stolica powstającego do życia państwa. Tak, trudno od razu uwierzyć — oszalałam.

Przedmieścia szumiły białoczerwonymi sztandarami. Przez wąskie uliczki miasta dotarliśmy do celu. Samochód zatrzymał się przed małą, jasnożółtą willą, otoczoną krzakami agrestu. Byliśmy na ulicy Spokojnej. Zanim zdążyliśmy wysiąść z samochodu, już nas witały wyciągnięte ręce przyjaciół. Naprzeciw willi przed którą wysiedliśmy — poważny, szary gmach — siedziba PKWN, dalej w głębi trzypiętrowe oficyny.

— Tam się pracuje, tam — wskazując na oficyny mówił jeden z „lubliniaków” — mieszka, a tu jada.



Rys. L. Michalski

Weszliśmy do stołówki. Dziwna to była stołówka. Po nad gwar ożywionych głosów wybijał się raz po raz czyjś radosny okrzyk na widok drogiej twarzy pojawiającej się przy wejściu. Ludzie siedzący przy stołach uśmiechali się: — jeszcze jedno niespodziewane odnalezienie. Czasami radość tych spotkań gasła po pierwszych zadanych pytaniach — ktoś z bliskich nie żył, ktoś nie wrócił z obozu, o kimś nie ma wiadomości.

Ale stołówka tętniła życiem, wciągała do życia. Z twarzy dziewczyny siedzącej przy jednym ze stołów nie schodził uśmiech. Jasnobłond włosy nie chciały się trzymać pod zdobyczną, niemiecką furażerką i co chwila spadały na czoło. Dziewczyna opowiadała, jak przed trzema dniami przedarła się lasami wraz ze swoim oddziałem tu, do Lublina. Trudno było uwierzyć, że te drobne, białe ręce, którymi żywo gestykułowała, potrafią mocno i twardo objąć pepesze.

— Nauka nie może być przywilejem wybranych. Bezpłatne nauczanie umożliwi nam najszerszym rzeszom naszego społeczeństwa dostęp do kultury — mówił przy innym stole cichym głosem oparty głęboko w krzesło starszy, siwy pan. Pod wysokim czołem uśmiechały się dobre oczy profesora. Wyjął z kieszeni starannie złożony kawałek zamszu, wyjął okulary i mówił dalej: — ...zaczynamy organizować uniwersytet...

— Pozwolicie, że wam zabiorę trochę czasu, chciałbym z wami spokojnie porozmawiać.

— Jeżeli uważacie, że można tu rozmawiać spokojnie — odparł zagadnięty, kierownik jednego z resortów PKWN — proszę. Wy pewnie o teatrze...

Stołówka kipiała tysiącem ludzkich spraw, planami, zamierzeniami, przyjaźnią.

Manifest PKWN ścigał do Lublina ludzi ze wszystkich stron, ze wszystkich środowisk. Zjechali się tu z terenów już wyzwolonych, z ZSRR, z Warszawy, z terenów jeszcze okupowanych, z obozów, z oddziałów partyzanckich. Ludzie nauki, sztuki, robotnicy, literaci, działacze społeczni, rzemieślnicy, dziennikarze, od pierwszego dnia przyjazdu stanęli do pracy.

Dziwna, pamiętna stołówka z ulicy Spokojnej, z czasów kiedy spokojna była tylko nazwa ulicy. Dowiedzieliśmy się tu o wszystkim tak jak nam mówił nasz porucznik na lotnisku. Jutro mamy pójść do PKWN,

gdzie otrzymamy przydział pracy, dziś — możemy zobaczyć miasto.

A miasto oddychało wolnością.

Na Krakowskim Przedmieściu ludzie stawiali tłumnie przed rozlepionym na murze ogłoszeniem. Ktoś czytał głośno: „Do obywateli miasta Lublina. Rada Narodowa Województwa Lubelskiego zwraca się do społeczeństwa z apelem...” Wszyscy zaczęli czytać razem, od początku do końca, raz i drugi. „Do obywateli miasta Lublina...” u góry wyłoczony piastowski orzeł...

Rada Narodowa... polska władza... ludowa władza...

— Ciekawe, czy pieczęcie z Orłem już są? — zapytał jakiś młody człowiek.

— Są, sam widziałem — padła natychmiastowa odpowiedź — z naszej garbarni poszła delegacja do Zarządu Miejskiego w sprawie Związku, dostaliśmy papier z pieczęcią. My, jedni z pierwszych zakładamy Związek — dodał młody garbarz z dumą w głosie.

— Zakładacie Związek? — zdziwił się ktoś.

— A zakładamy, i podjęliśmy zobowiązanie. My garbarze dostarczymy materiał, szewcy i kamasznicy dadzą pracę, i odstawimy dla Wojska Polskiego pięćset par butów. Pięćset par, z cholewami!

Z końcem lipca ogłoszono ochotniczy werbunek do wojska. Lokale werbunkowe były pełne. Jeszcze dotąd mi dźwięczą zasłyszane słowa starego robociarza:

— Ja za stary? Ja walczyłem w 1905 r., w 1918 w Berlinie byłem z naszymi, a teraz mam nie iść? Ta wojna to też rewolucja, musicie mnie przyjąć.

Młody sierżant prowadzący rejestrację zgłaszających się ochotników zawałał się:

— Zaczekajcie obywatelu, zapytam komendanta.

— Nie ma co pytać, zapisujcie i już — odpalił gniewnie stary.

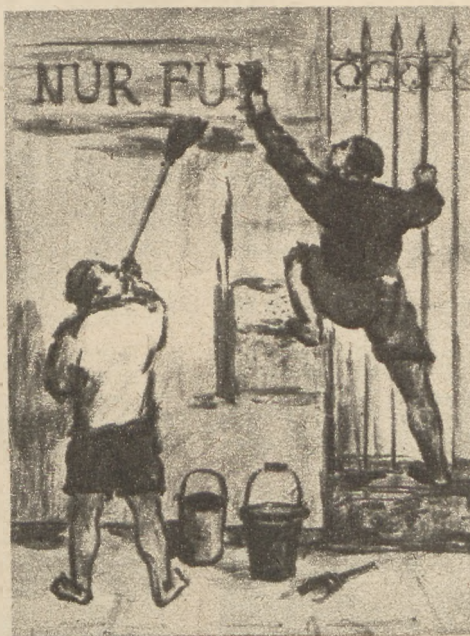
Przyjęcia do wojska odmawiano również zbyt młodym kandydatom. Wielu chłopców 14, 15 i 16-letnich odchodziło ze smutkiem od stołu, przy którym dokonywano zapisów. W ciągu następnych dni na ulicach miasta można ich było zobaczyć zaopatrzonych w farbę i żelazne skrobaczki.

— Ja mam 56 „achtungów” i 12 „soldatenheimów” — mówił jeden z chłopców, pokazując kartkę, na której oznaczał kreskami ilość zamazanych napisów niemieckich.

— A ja 8 „gesellschaftów”, 30 „vereinów” i 18 „nur für deutschów” — przechwalał się drugi, ocierając wierzchem dłoni pot z czupurnej, piegawatej twarzy.

Gdzieniedzie wiszące na murach strzepy dawnych ogłoszeń wiały minloną grozą:

„W ostatnim czasie w Okręgu Lubelskim coraz częstsze są napady na Niemców. Ostrzega się ludność przed utrzymywaniem jakichkolwiek kontaktów z komunistami, którzy są sprawcami tych zająć”. W celu odwetu i dla pacyfikacji Okręgu zrealizowano następujące zarządzenia: spalono podejrzaną o napaść wieś. Zastrzelono 50 mieszkańców, mienie skonfiskowano, domy spalono...



Rys. L. Michalski

Trzeba mocno zacisnąć zęby rwąc i depcąc te ostatnie ślady strasznego wczoraj, trzeba myśleć o dniu dzisiejszym i jutrzejszym, który przynosi życie.

Pierwszy entuzjazm wyzwolenia przerodził się wkrótce w pracę. Miasto stanęło do odbudowy.

W gimnazjum im. Staszica ruch; — nie tylko zresztą w tym gimnazjum. We wszystkich szkołach uczniowie

i rodzice przygotowują budynki szkolne do mającego się rozpocząć we wrześniu roku szkolnego. A przygotowań trzeba dużo — od naprawienia zniszczonych ścian i podłóg — do dostarczenia tablic i kredy. Chłopcy przynoszą co który ma z najniezbędniejszych pomocy naukowych.

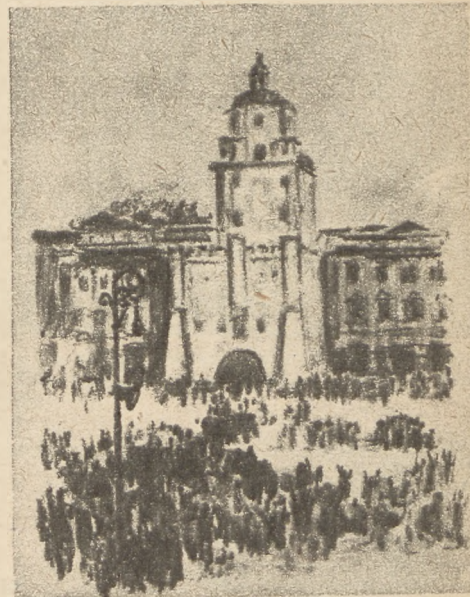
Na dziedzińcach powstają zaimprovizowane warsztaty stolarskie, które „gospodarskim” systemem dostarczają stoły i ławki. W jednej ze szkół kierownik Resortu Oświaty PKWN mówił do zebranych nauczycieli o celach i zadaniach oświaty w nowej Polsce. Po pięciu latach znów w polskiej szkole będą się uczyć polskie dzieci.

„Pięć lat”, „Od pięciu lat” — wszędzie się słyszy te słowa.

— Pierwszy raz od pięciu lat idziemy do teatru — cieszy się młoda para spiesząc w stronę Miejskiego Teatru. Ci młodzi ludzie znają tylko z opowiadań starszych lub z książek wielkie nazwiska aktorów — Jaracza, Osterwy, Zelwerowicza. Dzisiejsze przedstawienie jest dla nich wielkim spektaklem wielkiego teatru. Ostatni raz byli w teatrze jeszcze jako dzieci, dziś — kiedy uważają się już za dorosłych, idą ze wzruszeniem na pierwszą po wojnie sztukę polską. Wystawiane są „Ślubny Paniński” Aleksandra Fredry. Gra Reprezentacyjny Teatr I Armii Wojska Polskiego.

— Pięć lat był u mnie na przechowaniu — mówi ciepłym głosem zażywny pan stawiając w hallu muzeum starannie zawinięty obraz.

W ciepłe lipcowe dni ludzie nieśli różne przedmioty zaopatrzone w znak własności instytucji, nalepkę lub pieczęć z napisem „Muzeum Lubelskie”, lub „Depozyt Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie”. Ukryte przed okupantem zabytki wracały na swoje miejsce, aby znów służyć społeczeństwu.



Rys. L. Michalski

Jest wieczór. Przez głośniki uliczne słychać głos spikera: „Tu Polskie Radio Lublin na fali 224. Nadajemy audycję dla ziem jeszcze okupowanych...” Ze słowami spikera na falach eteru łączą się myśli ludzi będących tu na miejscu, ludzi już wolnych. Słowa miłości i otuchy dla Warszawy, dla reszty kraju. Następna ofensywa Armii Czerwonej i Wojska Polskiego wyzwoli Stolicę, wyzwoli całą Polskę. Lublin pracuje dla Warszawy, dla tych, dla których wolność płynie jeszcze tylko z zakonspirowanych radioodbiorników, z audycji na fali 224:

„Polacy w kraju i na emigracji
Polacy w niewoli hitlerowskiej
Rodacy...”

Słowa Manifestu głęboko zapadały w serca wszystkich. Poprzez entuzjazm, wiarę i siłę nigdy niezapomnianych, pierwszych lubelskich dni weszły dziś płonem Sześcioletniego Planu.

TADEUSZ CHABROS

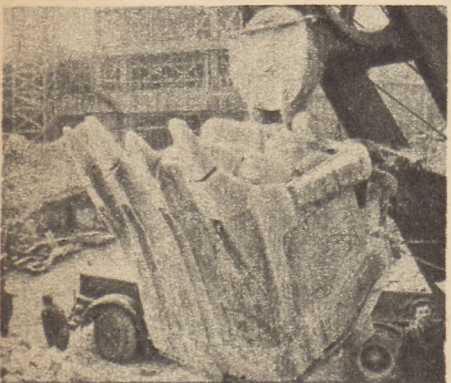


— Jak to? Przyjechałeś bez bagażu?
— Tak. Wysłałem go pociągiem towarowym.
— ?!
— To było 25 ton węgla, które wydobyłem ponad plan.

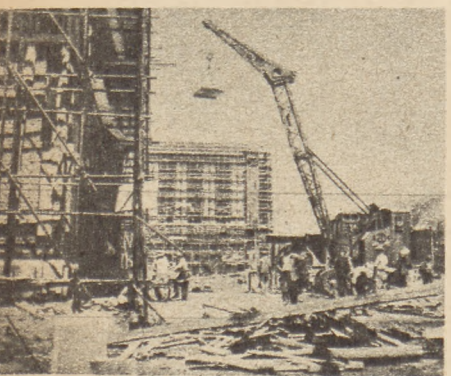
Przegląd M



Centralny plac MDM jeszcze wiosną przedstawiał się jak jedno rumowisko.



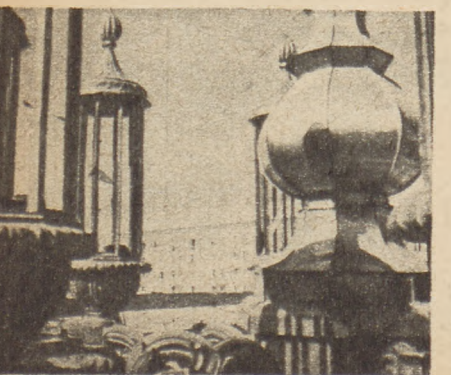
Lecz koparki radzieckie usunęły gruz i zaraz poczęły rosnąć nowe mury.



Ani się spostrzeżono, gdy dźwigary poniosły do góry okładzinę z piaskowca.



Kolumny ozdobiły podcienia budynków przeznaczonych na domy towarowe.



Na pięć pięter wysokie kandelabry oświetlają cały plac i pobliskie domy.

KAPITAN artylerii w świeżym, starym zaprasowanym mundurze, zadart głowę do góry i uśmiechając się machał komuś ręką na pożegnanie. Spojrzeliśmy w tym samym kierunku; nad rusztowaniami, czystymi szybami błyszczało okno, a z niego wychylała się dziesięcioletnia może dziewczynka.

A więc, choć domy nie są jeszcze całkowicie wykończone, już tętni w nich życie, już ktoś idący do pracy pozostawia najbliższych i w czasie dnia nieraz wybiega myślą do tej dzielnicy, w której mieszka, do najmłodszej dzielnicy Warszawy — MDM.

Z każdym dniem rusztowania są tu coraz niższe i od dachu odstania się stopniowo ostatnie dzieło naszych architektów. Kierujemy obiektyw na ozdobne gzymsy najwyższej kamienicy, lecz w lusterku widzimy, że jakiś mężczyzna stanął przed nami i grzecznie uchyla kapelusza.

— Przepraszam, czy nie wiecie, gdzie jest ulica Wilcza?

— Stoi pan przecież na samym rogu Marszałkowskiej i Wilczej.

— Niemożliwe!

Widzimy zdumienie w oczach i niedowierzające spojrzenie.

— Byłem tutaj trzy miesiące temu i...

Tempo budowy na MDM jest prawdziwie warszawskie. Gdy ten numer „Świata” dotrze do rąk naszych Czytelników, słowa, które wyczytają w nim o MDM, staną się przeszłością. Ulicą Marszałkowską i przez plac MDM przejdą już tłumy ludzi, cała Warszawa, młodzież złotowa, wycieczki, poznają wielkie dzieło naszej urbanistyki, wielkie dzieło naszych budowniczych.

Lecz teraz trudno nam jeszcze zorientować się w całości, choć widzi ją najdokład-

niej każdy z zatrudnionych tu pracowników. Kamieniarz, obciosujący okładzinę ścian z piaskowca, odłożył dłuto i widząc bezradność przewodnika kilkusobowej wycieczki, sam zaczął tłumaczyć.

— O, widzicie, tam! Tam od placu Zbawiciela biegnie ulica między dwoma blokami domów z kolumnami. Na ścianach są już płaskorzeźby, lecz ich jeszcze nie widać, bo zastaniają je rusztowania. A tu. Tu, jest plac MDM. W dzień to jeszcze nic. Dopiero w nocy będzie to plac! Światło dadzą trzy ogromne kandelabry, wysokie na pięć pięter i pełno lamp dwu i jednoramiennych. I w dzień też będzie ładnie — poprawił się kamieniarz — biało od piaskowca, aż oczy przymrużysz. Nie będziesz miał zegarka, zobaczysz godzinę na zegarze słonecznym. Zmęczysz się na słońcu, odpoczniesz w cieniu lip i topól. Zechcesz do dworca, wsiądziesz w tramwaj i pojedziesz ulicą sześćdziesiąt metrów szeroką. Samej jezdni będzie 26 metrów, a chodniki mieć będą po 17.

Wycieczkowiec spojrzeli we wskazanym kierunku. Za lasem rusztowań stały zakurzone, częściowo zniszczone, stare domy Marszałkowskiej. Wydawały się niestęchane nędzne, ubogie.

Kamieniarz dodał:

— Już niedługo i one znikną. Jeszcze w tym roku przebiegać się będziemy dalej. Nawet nie odsapniemy i jechać do Alei Jerolimskich!

Przestał interesować się wycieczką, chwycił za dłuto i szybkimi uderzeniami młotka wyrównywał płytę okładziny, ale gdy wycieczkowiec zaczęli się oddalać, popatrzył za nimi życzliwym, serdecznym wzrokiem.

Podobało mu się to, że nie mogli wyjść z podziwu.

wa nie może być powtórzeniem starej. Musi być piękniejsza i wspanialsza od dawnej. Nowa Warszawa będzie przecież miastem ludzi pracy...

ROK 1946 — 1947

Marszałkowska — zdawało by się — znów żyje. W parterowych budynkach wre i kipi wielkomiejski ruch. „Miękkie” i „twarde” przechodzą z rączki do rączki. W parterowych sklepikach „chłopów z Marszałkowskiej” handluje się wagonami małych wskazówek do ręcznych zegarków... Perfumy „Guerlaina”, „Factora”, papierosy „Camel”, „Chesterfield” i „Old Gold” idą, jak woda... Paniusie i paniusieczki mają pieniądze... Postarały się o nie szabrując na lewo i prawo... Ale do czasu!

ROK 1948

Jak ożywczy strumień przez pustynię, tak Trasa W-Z przeorała się przez warszawskie gruzy. Przekonaliśmy się, że potrafimy budować. Wielkie dzieło Planu Trzyletniego nauczyło nas wiary we własne siły, pozwoliło przeciwstawić zniszczeniom — wolę pokojowej, trudnej, wytrwałej pracy.

ROK 1949

3 lipca, w gorący, letni dzień odbywała się I Warszawska Konferencja Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Na mów-

nicy Prezydent RP Bolesław Bierut przedstawił zebranym wielki plan przebudowy miasta: Sześcioltni Plan Budowy Warszawy.

„...Pod robotnicze osiedla mieszkaniowe zostaną oddane tereny, które dawniej były dostępne jedynie dla zamożnej ludności Warszawy, mieszkania robotnicze wejdą do śródmieścia wzdłuż Trasy W-Z i ul. Marszałkowskiej... W okresie 6-letnim zostaną wybudowane i oddane do użytku osiedla mieszkaniowe przy ul. Marszałkowskiej...”

Tak zrodziła się wizja dzisiejszej MDM.

ROK 1950

Marzec. Powołano Pracownię Projektującą Marszałkowską Dzielnice Mieszkaniową. Oparto ją na zespole wypróbowanym w bitwie o Trasę W-Z. Opracowanie planów MDM powierzono inż. Józefowi Sigalinowi, Stanisławowi Jankowskiemu, Janowi Knothe i Zygmuntowi Stepińskiemu. Sprawa MDM przestała być wizją dalekiej przyszłości... Prace rozpoczęto.

22 lipca. Zespół pracowni MDM zameldował Prezydentowi Bierutowi: — Projekt dzielnicy — gotów! Czekamy na decyzję, by zacząć budowę!

25 lipca. Prezydium Rządu pod przewodnictwem Prezydenta Bieruta, po ożywionej dyskusji zatwierdziło projekt Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej.

Zdecydowano, że MDM obejmie część miasta w granicach: od południa — pl. Unii Lubelskiej, od północy — ul. Wilcza, od wschodu — ul. Krucza, od zachodu — ul. Noakowskiego i przyszła ul. Nowo-Przełomowa, która biec będzie przez Pole Mokotowskie.

MDM — w Planie 6-letnim będzie całkowicie gotowa. W 1955 roku ma tu mieszkać ok. 45 tysięcy osób — z tego około 50 proc. w nowych domach, o 18 tysiącach izb. Stare domy, adaptowane, będą przystosowane do ogólnego charakteru dzielnicy. Na MDM powstanie nowy, główny plac, nowa ulica łącząca ten plac z ulicą Polną. Wybuduje się budynki o łącznej kubaturze dwa i pół miliona metrów sześciennych. Poza domami mieszkalnymi na MDM będzie kilkanaście żłobków, przedszkoli i szkół, 5 urzędów pocztowych, domy kultury, nowe kina, ratusz dzielnicowy, stacje metro oraz wiele innych obiektów użyteczności publicznej. Z blisko 100 hektarowego terenu MDM ponad 30 przeznaczono na zieleńce, parki i ogrody.

W pierwszym etapie robót zrealizowana będzie tzw. I seria MDM, obejmująca 14 bloków przy Głównym Placu i 4 między pl. Zbawiciela a pl. Unii Lubelskiej.

1 sierpnia. Rozpoczęto pracę na MDM. Pierwsze maszyny: radziecka koparka i spychacz „Staliniec” przypuścili szturm na gruz.

16 sierpnia. Jednocześnie z pracami przy Głównym Placu MDM rozpoczęto oczyszczanie terenu pod bloki między pl. Zbawiciela a pl. Unii.

5 września. Rozpoczęto wykopy pod budowę pierwszego bloku nr. 3a po stronie wschodniej ul. Marszałkowskiej, między Piękną a Koszykową.

12 września, godz. 18-30. Pierwsze strugi betonu spłynęły na mury pierwszego bloku MDM — nr. 3a.

16 września. Na bloku 6b przy ul. Marszałkowskiej, między Głównym Placem



Jezdniom z asfaltu przybywały codziennie nowe metry lśniącej nawierzchni.



I przyszedł czas zdejmowania rusztowań. Wykańczano ostatnie szczegóły.

MDM

pl. Zbawiciela, po stronie zachodniej odbyła się uroczystość wmurowania aktu erekcyjnego pod budowę Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. Akt erekcyjny zamurował Przewodniczący St. Rady Narodowej, Jerzy Albrecht i pierwszy MDM-owski przodownik pracy, murarz Józef Czajka.

29 września. Rozpoczęto budowę następnych dwóch bloków — 2a i 6a.

Grudzień. W budowie znajduje się ogółem 12 budynków MDM.

ROK 1951

1 stycznia. Po reorganizacji czterech przedsiębiorstw, prowadzących dotąd roboty na MDM, utworzono jednolite Zjednoczenie Budownictwa Miejskiego, Warszawa 6 — MDM.

Marzec. Przez całą zimę trwały bez przerwy prace przy budowie MDM. Mróz i śnieg nie zahamowały robót ani na chwilę.

26 marca. Ruszyła budowa następnych 8 obiektów.

27 marca. Rozpoczęto pracę przy wytyczeniu ulicy Nowo-Projektowanej, która połączy Główny Plac MDM z ul. Nowowieską — i dalej z ul. Puławską.

28 marca. Po raz pierwszy, załoga budująca MDM podjęła zobowiązania dla uczczenia międzynarodowego święta robotniczego 1 Maja. MDM-owcy postanowili przyspieszyć pracę przy pierwszych obiektach dzielnicy o 15 dni.

14 kwietnia — godz. 16.30. Wywieszono pierwszą na MDM wiechę oznaczającą zakończenie robót w stanie surowym. Pierwszą wiechę wywiesiła brygada cieplarska Adamskiego na bloku 2a przy ul. Pięknej.

1 maja. Załoga MDM zameldowała o pierwszym zrealizowaniu zobowiązań produkcyjnych.

2 czerwca. Zespołom młodzieżowym powierzono całkowicie budowę bloku 2b przy zbiegu ul. Marszałkowskiej i Wilczej.

21 lipca. Załoga budująca MDM wykonała przed terminem swoje postanowienie: w 20 dni przed ustaloną w harmonogramie datą przekazano lokatorom pierwsze dwa domy: nr 1d i 2a przy ul. Pięknej. W przeddzień 7 rocznicy Odrodzenia Polski przodujący murarz MDM, Władysław Ostatek, przekazał Przewodniczącemu St. R. N. klucze od mieszkań w tych pierwszych blokach. Gotowe były 344 izby. Lokatorzy wprowadzili się jeszcze tego samego dnia. Pierwsze izby nowego śródmieścia stolicy zajęli przodownicy pracy z warszawskich zakładów i budów.

22 lipca. Otwarto wystawę „MDM w budowie”. Urządzono ją w bloku wzniesionym w stanie surowym przy ul. Marszałkowskiej. Na wystawie tej przedstawiono i zatwierdzony już do realizacji projekt nowych — po Placu — części Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej.

15 sierpnia. Wszystkie bloki pierwszej serii MDM są już w budowie.

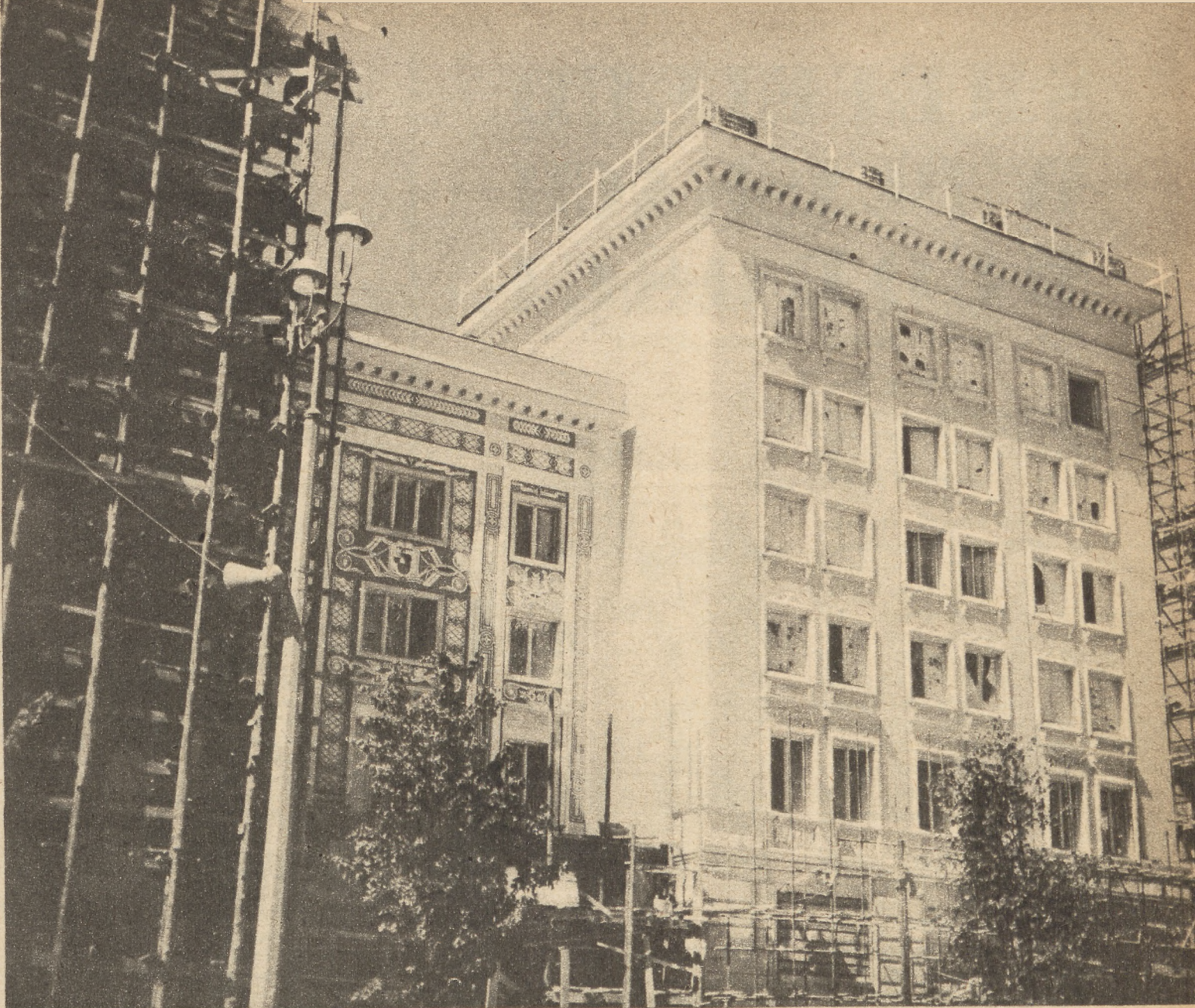
19 października. Pierwsi kamieniarze: Jan Dziel i Stefan Snopczyński rozpoczęli układanie bloku 3a jasnymi, piaskowcowymi elewacjami.

31 grudnia. Plan roczny budowy MDM wykonano w 101,5 proc. Załoga budująca nowe śródmieście stolicy przekazała w r. 1951 — 1400 izb w 9 blokach.

W budowie jest ogółem 38 obiektów.

Spoza rusztowań wytoniły się fasady nowoczesnych domów dla świata pracy.

W solidnie wykonanych mieszkaniach MDM matki kąpią już swe pociechy.



Niewątpliwie blok między ulicą Wilczą i ulicą Piękną należeć będzie do najpiękniejszych budowli w całej Warszawie.

ROK 1952

Styczeń. W planie robót ustalono, że w tym roku ma być oddanych do użytku 3200 izb.

19 stycznia. Młodzieżowy zespół Mariana Drabika pracujący na budowie bloku nr. 15 ustanowił rekord Polski w murarstwie, układając w ciągu dniówki 19.243 cegły.

5 lutego. Murarz Władysław Górecki, jako pierwszy robotnik MDM wykonał zadania przypadające mu w Planie Sześcioletnim.

25 marca. Wystartowały następne cztery bloki MDM przy ul. Marszałkowskiej między pl. Zbawiciela a pl. Unii.

1 maja. Załoga MDM zwróciła się do mieszkańców Warszawy z prośbą o pomoc w pełnym i terminowym zakończeniu prac przy Głównym Placu. Robotnicy MDM apelowali do mieszkańców stolicy, by zgłaszali się do ochotniczej pracy przy porządkowaniu gotowych już odcinków Placu.

25 maja. Na blokach 5a, 5b i 6e przy Placu MDM zawieszono ostatnie wiechy. Wszystkie domy przy Placu są gotowe.

5 czerwca. Zespół trójkowy Stanisława Kapuśniaka ustanowił nowy rekord Polski w murarstwie układając w ciągu dniówki 19.692 cegły.

25 czerwca. Na trzynastcie dni przed terminem zakończono prace przy ozdabianiu elewacji pierwszego bloku MDM — 2a przy ul. Pięknej.

25 czerwca. Rozpoczęto montaż wielkiego zegara o średnicy tarczy 5 m. na bloku 1a przy zbiegu Marszałkowskiej i Wilczej.

26 czerwca. Na Placu zasadzono 16 nowych — kilkunastoletnich drzew.

27 czerwca. Ustawiono nowe latarnie na Placu. Kamieniarze układają już wszystkie bloki MDM i trzy wysokie kandelabry na środku Placu.

7 lipca. Ułożono już nową nawierzchnię na Placu. Zaczęto zdejmować rusztowania.

8 lipca. Liczba ochotników, którzy zgłosili się do pomocy załodze MDM przekroczyła 70 tysięcy.

10 lipca. Pełną parą trwają ostatnie przygotowania do przekazania Placu do użytku. Znikają rusztowania. Przygotowuje się sklepy i kioski, ustawia się tablice ogłoszeniowe, nowe przystanki tramwajowe itp.

21 lipca. Przez Plac MDM przejdzie defilada uczestników Zlotu Młodych Przedowników — Budowniczych Polski Ludowej.

22 lipca. Plac gotów! Po niepełnych dwóch latach pracy gotowa jest piękna część nowego śródmieścia Warszawy.

Na wybudowanie Placu zużyto 40 tysięcy 10-tonowych wagonów materiałów. Pociąg zestawiony z tych wagonów zająłby tor długości od Warszawy do Jeleniej Góry. Codziennie zużywano przy budowie Placu 100 tysięcy sztuk cegieł. Budowa MDM pochłaniała kwartalnie 400 wagonów cementu, 4300 ciężarówek piasku, 700 samochodów wapna, 414 tys. pustaków, 4 pociągi 40-wagonowe drewna. Do ozdobienia Placu zużyto 30 tys. płyt szlachetnego kamienia, na elewacje potrzeba było 27 tys. metrów kwadratowych piaskowca, 8 tys. metrów marmuru i 6 granitu.

Wielką pracę wykonała załoga składająca się z blisko 10 tysięcy robotników: murarzy, cieśli, betoniarzy, drogowców, elektryków, wodociągowców, tramwajarzy itd. Im to Warszawa zawdzięcza ten piękny Plac, który jest przykładem i symbolem naszego wspaniałego, pokojowego budownictwa.

Zdjęcia: K. Jarochoński, Tadeusz Sarnecki, Władysław Starony.



Po raz pierwszy chłop w Polsce uwolnił się dzięki sojuszowi z klasą robotniczą z jarzma wiekowego uciaku, pozbył się raz na zawsze „pana”, stał się pełnoprawnym współgospodarzem swego kraju, przestał żyć w nędzy i głodzie, dźwignął się i odetchnął pełną piersią. Po raz pierwszy od setek i dziesiątek lat dziecko chłopackie uwolniło się od poniewierki i tulaczki za chlebem, od beznadziejnej troski o swą przyszłość, znalazło nareszcie w swej ojczyźnie szerokie możliwości przestąpienia przez odwieczny mur, oddzielający wieś od miasta, prawo do zdobycia wiedzy, zawodu, pracy według własnego wyboru.

(BOLESŁAW BIERUT)

SHEFFIELD W BLASKACH MŁODOŚCI

Korespondencja własna „Świata“

Londyn, w lipcu

PEWNEGO niedzielnego popołudnia na ulicach miasta Sheffield, wielkiego centrum przemysłu zbrojeniowego w Anglii i niedoskiej siedziby Kongresu Obrońców Pokoju — pojawiło się nagle 4.000 młodych chłopców i dziewcząt z flagami i transparentami. Mieszkańcy Sheffield stawali zdumieni, patrzyli i dziwili się. Nigdy jeszcze nie widzieli tyle barw i entuzjazmu, tyle szczęścia i młodzieńczego zapału w swym ponurym mieście. Były tam grupy regionalne, które tańczyły na ulicy; byli chłopcy i dziewczęta śpiewający pieśni; inni wołali „pokój“ we wszystkich możliwych językach. Ta barwna defilada była częścią niezwykle udanego Pokojowego Złotu Młodzieży, który zapuścił korzenie na przedmieściach Sheffieldu.

Powstało tam całe miasteczko namiotów. Chłopcy i dziewczęta przybyli ze wszystkich zakątków Anglii używając wszelkich możliwych środków lokomocji — rowerów, samochodów, pociągów, ciężarówek i własnych nóg. Zebrało się 200 młodych górników, 500 mechaników, 90 robotników budowlanych, 500 studentów i wielu innych przedstawicieli ze wszystkich prawie zawodów.

Zebrawali się mimo wysiłków władz, które niczego nie zaniedbały, by zniszczyć tę piękną inicjatywę. Rząd konserwatystów odmówił wydania wiz bratnim delegatom z zagranicy — między innymi przedstawicielom młodzieży Związku Radzieckiego i Chin Ludowych. Organizatorom Festiwalu nie udzielono nawet najbardziej prymitywnych ułatwień. Żadne kino w Sheffield nie chciało wyświetlać filmów młodzieżowych. Nie można było wynająć ani jednej sali na zebrania. Spółka transportowa odmówiła przydzielenia choćby jednego autobusu na linię obóz — Sheffield, mimo że wiązało się to z dużym zarobkiem. Firmy, które podpisały kontrakty na dostarczenie żywności, zerwały je w ostatniej chwili. Policja zabroniła tańczyć na ulicach. Nawet klimat angielski sprząsł się przeciwko młodzieży, „delegując“ ulewne deszcze na okres Złotu.

Ale wszystko to nie zniechęciło w najmniejszym stopniu młodych bojowników o pokój. Inicjatywa, entuzjazm i serdeczna współpraca ludzi o różnych poglądach, ale związanych jedną ideą — ideą pokoju — pozwoliły na rozwiązanie wszystkich problemów.

Nie ulega wątpliwości, że Sheffieldzki Pokojowy Złot Młodzieży był wielkim sukcesem brytyjskiego ruchu młodzieżowego i dodał bodźca do dalszej walki o pokój wśród młodego pokolenia. Po trzech wspaniałych dniach młodzi chłopcy i dziewczęta wrócili do domów jeszcze bardziej zdecydowani walczyć i pracować dla pokoju.

Zamieszczamy tu rysunki ze Złotu, wykonane przez znanego rysownika brytyjskiego — Gabriela. Gabriel doskonale uchwycił atmosferę radości, entuzjazmu i zdecydowania młodych ludzi oraz ducha międzynarodowej solidarności, jaki panował na Festiwalu wśród przedstawicieli 24 narodów reprezentowanych na Zlocie.

DEREK KARTUN



Do późnej nocy rozbrzmiewały dźwięki muzyki, przy których tańczyli młodzi patrioci z Grecji, Hiszpanii republikańskiej, Cypru. Przyglądała się im zdumiona i zachwycona ludność Sheffield.



Na ulicach Sheffield — radość, entuzjazm, solidarność międzynarodowa w barwnym pochodzie radosnej młodzieży.



Po południu — wielka zabawa w zachodniej części miasta w takt skocznych dźwięków ludowej muzyki.

ŚWIAT przypomina!

„Nędznicy“ najpierw w Warszawie — potem w Paryżu



Czołowym dziennikiem warszawskim w roku 1862 była „Gazeta Polska“, redagowana przez wielkiego polskiego pisarza — Józefa Ignacego Kraszewskiego. Na poczesnym miejscu tego dziennika z dnia 1 marca, przed laty 90, w zapowiedzi od redakcji czytelnicy znaleźli następującą wiadomość:

„Redakcja „Gazety Polskiej“, starając się, o ile możliwości, o urozmaicenie pisma, weszła w układ z p. A. Lacroix, wydawcą najnowszej, obszernych rozmiarów powieści Wiktora Hugo („Les Misérables“) — „Nędznicy“, i może dziś oznajmić, że tłumaczenie jej polskie ukaże się w odcinku wprzód nim samo dzieło zacznie wychodzić po francusku. Będziemy je umieszczać nieprzerwanie, tak, że czytelnicy polscy razem z francuskimi otrzymają tę znakomitą i wielce zajmującą pracę pisarza, którego imię na czele książki jest najlepszą jej pochwałą.“

Istotnie, w numerze z 24 marca „Gazety Polskiej“ z roku 1862 znajdujemy pierwszy odcinek „Nędzników“.

Dzieje „Nędzników“ żywo interesowały redakcję polskiego pisma. W numerze z 10 kwietnia czytamy m. in.:

„Jedno z pism francuskich tak się o „Nędznikach“ odzywa: „Francja od dwóch dni otrzymała obietnicę i zadatek nowego arcydzieła. „Nędznicy“ tak niecierpliwie oczekiwani zaczęli

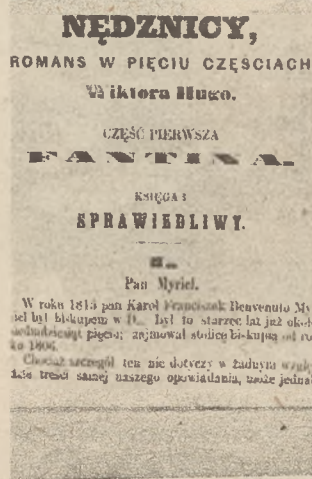
się nareszcie ukazywać, od dwóch dni 20.000 czytelników uśmiechają się przez ten temu nowemu objawowi geniuszu, którego światło jaśnieje na wszystkich drogach ciemnych sztuki i literatury we Francji.“

W związku z atakami reakcjonistów i klerykałów na dzieła Wiktora Hugo „Gazeta Polska“ z dnia 5 maja w notatce opatrzonej krzyżykiem, a więc oznaczającej, że wyszła spod pióra samego Kraszewskiego, pisze m. in.:

„Mógłże poeta, mogłaż dusza podobna patrzeć z zimną krwią fatalistę na obraz przerażający XIX wieku, który się chlubi z postępu, a idzie tak powoli ku niemu. Wydoskona armaty i gwin-tuje karabiny, a prawo zarzdziałem zostawia i społeczeństwu pleśnieć daje. Taki wykrzyk boleści choćby nigdy nie wywołał ratunku, świadczyć będzie wymownie przynajmniej o poczuciu nędzy życia, szczerości tego, co śmiało światu całemu rzucić rękawicę w twarz i powiedzieć: — Tyś samozwaniec.“

O walce klerykałów i reakcji z wielkim dziełem Wiktora Hugo informowała „Gazeta Polska“ również w numerze z 24 czerwca 1862 roku:

„W Bordeaux biblioteka publiczna chciała nabyć „Nędzników“ W. Hugo. Ale księża, przeważający w komisji doradczej, zdolali uzyskać wotum przeciwne kupnu — „dlatego, że nie wiadomo, co to jest“.



W Manchester i w Warszawie

W miarę możliwości cenzuralnych postępowa „Gazeta Polska“ informowała swych czytelników jak wyglądał świat, z którym walczył Wiktor Hugo. W numerze z 5 maja tegoż 1862 roku, „Gazeta“ pisała:

„Nędza wyrobników angielskich z powodu przesilenia bawełnianego zwiększa się bardzo groźnie... W Preston w ostatnim tygodniu — pisze „Manchester Guardian“ — rozdano 579 franków na 3.650 osób pozbawionych pracy. Odpowiedniego tygodnia w roku 1861 miało tylko 1.183 osoby potrzebujące wsparcia i rozdano 142 franki. Robota koło bawełny zawsze w stagnacji — warsztaty co dzień się zamykają.“

A w numerze z 3 czerwca znajdujemy taką notatkę, dotyczącą „mieszkań ubogich“ w Warszawie:

„Niektóre domy Rynku Starego Miasta, a prawie wszystkie przy ulicy Piwniej, Piekarskiej, Dunaju, Gołębiej, Brzozowej, Krzywego Koła, Kamiennych Schodków są jak najgorzej utrzymane. Jakże z tego skutki wynikają, niech nam to pokaże wynotowanie ksiąg urodzonych i umarłych parafii Św. Jana z roku przeszłego, w którym przecież nie pano-wała żadna epidemiczna choroba. Było 808 zmarłych, a w tej liczbie umarło 390 dzieci od pierwszego do trzeciego roku życia — co czyni 48 na 100. Liczba ta wykazuje, jak są szkodliwe mieszkania wilgotne, ciśnie i smrodliwe: wiemy bowiem, że parafia Św. Jana, obejmująca Stare Miasto i nadbrzeża Wisły od ulicy Mostowej aż do Bednarskiej, najwięcej ma takich zanieczyszczonych domów. W parafii Świętokrzyskiej, obejmującej zdrowszą część miasta, w roku 1861... umarło dzieci od pierwszego do trzeciego roku życia 692, co czyni prawie 30 na 100 — jest więc różnica o 18 na sto... Okna mieszkań ubogich wychodzą zwykle na podwórko ciasne, wysokimi murami otoczone, gdzie ani słońce, ani świeże powietrze nie dochodzi. I jakby nie było dosyć na tym, stoją tam skrzynie ze śmieciami i wychodki utrzy-mywane jak najnieporządniej. W wielu domach te miejsca niezbędnej potrzeby stoją na schodach i cały dom od góry do dołu zarażają wyziewem. I takim to zabójczym powietrzem oddychają mieszkańcy. Niemowlęta i dzieci małe nie znoszą takiego powietrza... Nie dosyć na tym: poprzerałano piwnice na mieszkania, a biedny lud szukając tańszych lokali mieści się tam i nabywa nieuleczalnych cierpień.“

Nie dziwnym się więc, że „Nędznicy“, wielkie dzieło Wiktora Hugo, podnoszące w gorący sposób sprawę walki z nędzą ludzką i z panującymi wówczas stosunkami społecznymi, zdobyło w Warszawie wielką popytność, że miało zastosowanie i do stosunków miejscowych.



Niezamożni korzystać mogli wtedy tylko z dobroczynności. Nocleg w przytułku im. ks. Boduena w Warszawie Rys. H. Pillati

Opis podróży do Australii i pobytu tamże od 1852 do 1856 roku.

przez Seweryna Korzelińskiego.

(5)

O nandlu ludźmi w Anglii mówi też urywki z życia sędziego Jeffries. Razu pewnego wstąpił on do miasta Bristol powracając z Taunton, gdzie poranki przepędzał posyłając więźniów na szubienicę lub spalenie, a wieczory przy szklance z przyjaciółmi swoim, pułkownikiem Kirk. Alderman¹⁾ i sędziowie w Bristolu zwykle sprzedawali osądzonych do amerykańskich plantacji. Widząc interes korzystny, wynaleźli sposób rozszerzenia handlu tego osobliwym przemysłem, gdyż więźniów mieli mało, więc na legalnej drodze przychód był nieznaczny. Za najmniejsze uchybienie kazali łapać i więzić ludzi, i straszili ich szubienicą, mieli przy tym uczynnych przyjaciół, którzy udawali się do więzień i poddawali biedakom lepszą myśl. Ci przestraszeni prosili sami o deportację, jako jedyny środek ratowania życia. Po czym każdy alderman brał z porządku jednego i sprzedawał go na własny rachunek. Czasem powstawały między nimi kłótnie o porządek w kole.

Handel ten prowadzono przez lat kilka po kryjomu, nim go Jeffries odkrył. Przy inkwizycji przekonał się, że i mai-re²⁾ miasta należy do kompanii. Kazał

Już przed wojną o niepodległość zaczęli dostawać Amerykanie Murzynów bardziej uległych i zdutniejszych do pracy niż biali — nie chcieli więc nabywać tego towaru z Europy. Wojna położyła koniec handlowi białym mięsem i napełniła więzienia angielskie. W tym samym czasie zaczęły wychodzić pisma Howarda utyskujące na srogość obchodzenia się z ludźmi po więzieniach, w czym zupełną miał słuszność, znalazł on bowiem po więzieniach, które ze swego powołania zwiedzał, skazanych zbrodniarzy z pieniędzmi w kieszeni, pogrążonych w rozpuście, kiedy tymczasem ludzie biedni, nie sądzeni, czekający na inkwizycję, zgłodnieli. Na wilgotnych umieszczonych kamieniach, wystawieni byli przy oknach bez szkła na wpływ zimna, a czasem pomieszczeni w głębokich lochach, gdzie febrę i zaraźliwe choroby tlały bezustannie, zmiatając często niewolników, pilnujących i sędziów razem. O barbarzyństwie systemu tego można wnosić stąd, że Howard uważał za wielkie zwycięstwo, kiedy po upływie długiego czasu wyrobił dla każdego nieinkwizowanego więźnia pozwolenie na chleb za jednego pensa i mały kawałek sera, jako pożywienie dzienne. Starał on się o polepszenie więzień, lecz ludzkością natchnionego jego zabiegi mało znalazły poparcia.

Gdy więc z jednej strony pisma Howarda rząd naciskały, z drugiej — nagromadzenie więźniów niepokoiło, trzeba się było ich pozbyć jakim bądź sposobem. Wieszanie posunęło do ostatnich granic. Deportacja zamknięta została przez powstanie Ameryki, gdzie i tak innych nie chcieli już przyjmować niewolników, jak tylko takich, którzy by przynajmniej mieli 1/4 krwi czarnych w żyłach. Wspierano więc najusilniej propozycję przewożenia skazańców do nowo odkrytej przez Cooka ziemi w antypodach, wnosząc, że ta karna kolonia sama utrzymać się potrafi, a jeżeli by to nie nastąpiło, tedy przynajmniej niewolnicy wywiezieni tak daleko, przestaną być niebezpiecznymi dla życia i własności w Anglii. Howard sprzeciwiał się temu postanowieniu, lecz zdanie jego nie było przyjęte.

XV. PIERWSI KOLONIŚCI

Pierwszy oddział kolonistów składał się z gubernatora Artura Phillipa, z gwardii marynarzy, to jest majora, jako komendanta siły zbrojnej, dwunastu niższych oficerów, dwudziestu czterech podoficerów i stu sześćdziesięciu ośmiu szeregowych z czterdziestu kobietami, ich żonami. Z nimi przybyło 600 skazańców mężczyzn i 250 kobiet. Te nie tylko że były upośledzone, ale niektóre w wieku podeszłym, słabe, a nawet cierpiące pomieszanie zmysłów.

Fregata „Syrius“ i sześć trzymasztowych okrętów transportowych pod komendą kapitana Hunter, zabrały całą tę ekspedycję z Anglii. Zapomniano, że nie ma księdza, więc już w ostatnim momencie jakiś naprędce schwycony kapłan został wsadzony na okręt. Nie było nauczyciela, ani nawet nadzorca, marynarze z nabitymi karabinami utrzymywali porządek. Ani pomyślano o rolniku, który wskazywałby deportowanym jak mają orać, kopać i siać. Zapomniano nawet zaopatrzyć się w narzędzia potrzebne do stawiania budynków. Zostawiono przedmiot ten ważny przypadkowi, polegając na zdutności sześciuset skazańców, między którymi, jak się okazało, nie było nawet sześciu cieśli, jeden tylko murarz, a żadnego mechanika do postawienia młyna.

Wyprawa ruszyła z Anglii 13 maja 1787 roku, a w osiem miesięcy, to jest 20 stycznia 1788 roku dotarła do Australii. Ekspedycja płynęła koło brzegów, dzień był pogodny, a dzicy mie-

szkańcy napełniając przeraźliwym widokiem lasy, towarzyszyli jej lądem, jak daleko pozwalały postępować przeskoki piętrzących się skał i dzikiej natury. Przybliżywszy się do Port Jackson, zobaczyli, że okolica przedstawia widok niepocholeby, odpowiadający zupełnie opisom Cooka.

Okręty kapitana Phillipa rzuciły kotwicę 26 stycznia 1788 roku w zatoce Sydney, tak nazwanej od nazwiska jednego z lordów admiralicji. Kolory angielskie wywieszono, a trzykrotne strzały zapowiedziały puszczołom i dzikim mieszkańcom nowe panowanie. Porozbijano namioty, w nich mieścili się: gubernator Phillip i oficerowie, inni zaś koloniści w spróchniałych drzewach. Cały inwentarz nowej kolonii składał się z 2 wołów, 5 krów, 1 konia, 3 klaczy, 3 baranów, 29 owiec, 19 kóz, 7 świń, 5 królików, 18 indyków, 29 gęsi, 35 kaczek i 210 kur. Bydło było ładne, z Przylądka Dobrej Nadziei, więc zarodu holenderskiego. Zaraz w pierwszym miesiącu uciekły dwa woły i cztery krowy w lasy i pokazały, że lepszymi były kolonistami niż ludzie, bo po kilkudziesięciu latach znajdowano po różnych miejscach w lasach liczne stada tłustego i ładnego bydła.

Obejrząwszy się na pierwsze istnienie Nowej Południowej Walii, strach i zadziwienie przejmują na myśl, jakim sposobem nie tylko utrzymała się, ale i wzrastała ta kolonia pod rządem samowładnym człowieka, (tj. kapitana Phillipa — przyp. red.) umiającego tylko utrzymać w karności załogę okrętową, mającego busolę i kwadrant³⁾, ale nie posiadającego prawniczych, budowniczych ani nawet rolniczych wiadomości.

Ziemia do uprawy był to czysty piasek. Każdą stopę trzeba było zdobywać karczując ogromne drzewa, twardości wystawiającej na próbę hart najlepszej

kiego kazuara. Długo żadne przedsiębiorstwo nie odezwało się pomiędzy pierwszymi kolonistami; zostawali oni w niewiadomości przez czas długi o istnieniu bogatych okolic, które później utrzymywały kolonię.

XVI. SYDNEY

Bardzo tedy zwolna wzrastało miasto Sydney, obecnie mogące porównanym być z najpiękniejszymi miastami Europy. Położone nad zatoką, gdzie już dziś widzieć można wiele okrętów, domy porządne, przy których ogrody pełne kwiatów i drzew owocowych z różnych stref świata, sklepy błyszczące modnymi towarami Londynu i Paryża, przed którymi stają kabriolety i ekwipaże przywożące wystrojoną córkę albo wnuczkę złodzieja lub rabusia, na drogach w Anglii niegdyś schwytanego. Dziś on już jest zaszczycony przydomkiem: „honorable“, odpowiadającym naszemu „wielmożny“. Salony jego zapełnione urzędnikami, posiadaczami gruntowych własności (setlerami) i oficerami różnej rangi, a rękę ściska mu gubernator, rękę poległych ofiar. Na wieluż to łzach i jękach wzrósł ogromny majątek pana Stubb, najbogatszego człowieka w Sydney. On sam schwycony był przed laty na drodze publicznej przy rabunku dyliżansu, wsadzony razem z żoną do więzienia, osądzony i wywieziony został na zawsze do Australii.

Zona jego dla braku dowodów wypuszczona była, umiała bowiem zatrzeć ślady zbrodni popełnionych przed schwytaniem i ukryć plon zebrany w różnych czasach staraniem męża, a jako czuła i przywiązana małżonka, znalazła sposób złączenia się z mężem i przywiezienia mu owocu drogowych usiłowań jego. Teraz on jest posiadaczem rozległych ziem, domów i pała-



„...krewini płacili, uczynny Penn przynosił damom pieniądze...”

mu tedy zstąpić z ławki sędziego, stanąć w szkarłatnej szubie przed kratami i bronić się jako oskarżonemu. Długo sięgała władza jego, dalej nie, a szkoda, bo może by był powołany przez króla z dam pałacowych, gdyż pieniądze z sprzedaży ludzi przychodziły aż do pokojów Jakuba II. Sławny Penn, od którego Pensylwania nosi nazwę, był pośrednikiem między damami nadwornymi króla tego, a krewnymi uwiecznionych i na wygnanie skazanych. Krewni płacili, uczynny Penn przynosił damom pieniądze, a damy, upatrzywszy stosowną chwilę, starały się o uwolnienie uwiecznionego, który ostatnim groszem opłacał wolność swoją.

System taki prowadził do kradzieży dzieci ludzi ubogich i pozbawionych przyjaciół, do więzienia osób, które się stały niebezpieczne możnym; dłużnicy tym sposobem uwalniali się od wierzytelności, kobiety od mężów, a opiekunowie pozbawiali się pupilów. Przedawano wszystkich bez wyjątku, w czym objawia się duch kupiecki Anglików, bo i w zemście chcieli pieniądze mieć korzyść. Jeśli Włoch lub Hiszpan nieprzyjaciela nożem pchnął lub otruił, to Anglik go sprzedał.



siekiery w ręku najzdutniejszego rębacza. Z jednej strony rozciągał się brzeg nieznajomy i morza nie ucieszczane, z drugiej strony pustynie bez granic, pokryte lasami i zamieszkałe przez dzikich, gdzie kroku nie można było zrobić bez obawy zbłądzenia lub napadu, gdzie ziemia nie wydawała żadnego dzikiego owocu, jagody lub korzenia do pożywienia zdutego i żadnej zwierzyny prócz skaczącego na dwóch nogach kangura, oposa i szyb-

ców w Sydney, a dla pokrycia zbrodni i dla nabrania jakiegos znaczenia bawił się filantropią. Wybudował dom dla ubogich dzieci i uposażył go 30.000 funtów. Nie potrzebowałby on nawet takiego wydatku dla zjednania sobie poważania między tłumem. Ten nie ogląda się na przeszłość, niech tylko teraz pan Stubb jeździ ekwipażem, niech ma ugalonowane sługi, niech traktuje przysmaczkami i dobrym winem, a mało kto pytać się będzie: kim on jest?

1) Alderman — radny miejski i sędzia pokoju w Anglii.
2) Maire — mer, burmistrz miasta.

3) Kwadrant — przyrząd astronomiczny, którym posługiwano się dawniej przy określaniu położenia statku na morzu.

NOTES BRYGADZISTY JUCHNICKIEGO

KAMILA CHYLINSKA

NOTES jest duży, w czarnej oprawie. Na pokratkowanych kartkach z zagiętymi rogami — ślady palców i cyfry wypisane miękkim, niedokładnie zaostrzonym ołówkiem.

Palce odwracające starannie owe kartki, niby wertując dokument jakiś o wielkiej, osobistej ważności, są w przegubach zgrubiałe, a w bruzdach zaszyły czernią, oporną zapewne na wodę i mydło.

Czoło, pochylone nad notesem, za każdym wzniesieniem brwi układa się w szerokie fałdy, pomagając oczom, ozdrowiałym po chorobie trwającej lat trzydzieści, bystrzej patrzeć spoza okularów.

Plecy, zaokrąglone od trudów długiego życia, prostują się rzadko, przygarbione nad robotą lub nad coraz gęściej zapisanym notesem.

Notes stał się najbliższą rzeczą człowieka. Kilka razy dziennie wędruje z kieszeni do rąk swego właściciela i wzbogaca się o nową cyfrę. Przed godziną trzy — teraz już sześć. Czy dadzą radę? Czy wyciągną tyle, co wczoraj? Czy zdążą? Kartki z zagiętymi rogami awansują na pamiętnik pasji i kontrolę dokonań. Odczytuje z nich brygadzysta Juchnicki to, co sam potrafi zrobić i to, czego umiał nauczyć członków swej brygady, zwłaszcza najmłodszych.

DO CZEGO TĘSKNIŁ WALDEK

Po prawdzie, nie do tej pracy, co u rzekł Juchnickiego, tęsknił siedemnastoletni Waldemar Kowalik, gdy jeszcze był we wsi, w toruńskim powiecie. Ogniste kujawiaki, oberki skoczne i zawodzące śpiewki wiejskie tak mu szumiały w głowie, że swe nieuczone ręce przyłożył do akordeonu, który, o dziwo, rozbrzmiał prawidłowymi tonami. Ze słuchu, żadnymi nutami nie kierowany, próbował Waldek odtwarzać zasłyszane melodie. Potem sam, z pomocą specjalnej książki, nauczył się czytać nuty. Przygrywał na weselach, na kiermaszach i zabawach, a w takt tańca marzyć zaczął o mieście, o nauce prawdziwego grania. Siostra, co wyszła za szlifierza pracującego na Żeraniu, przyjechała z Warszawy i jej rodziców nakłaniała do przeprowadzki. Ziemi było mało. Na gruncie płaszczyznym, nie użyźnianym przez poprzedniego właściciela żadnymi nawozami, niewiele wzeszło, raz łubin, raz żyto — do życia za skąpo. Waldek zniechęcony chodzeniem na odrodek niecierpliwił się: „Na cudzym wiecznie będę pracował, czy jak?” Z siostrą pojechał do Warszawy, a w



Brygadzysta Juchnicki cierpliwie tłumaczy, pokazuje, wyczerpująco wyjaśnia...

kilka miesięcy później przybyli za nim rodzice.

Chłopaka do FSO na Żeraniu przywiódł szwagier. Waldek na krótko zawadził o lakiernię, a potem przydzielono go do „brygady drzwiowej” Juchnickiego, na wydziale spawalnico-montażowym. Spotkali się więc przy drzwiach przyszłych samochodów — stary warszawski blacharz i młody wiejski akordeonista.

INNA NAUKA

Akordeonista rozpoczął naukę blacharstwa samochodowego. Zamiast biegać po klawiszach — palce, uczyły się na chropowatej powierzchni drzwi wyczuwać najdrobniejsze nieregularności, miejsca nieznacznie wklęsłe lub nieznacznie wypukłe. Zamiast naciskać grające guziki — ręce wprawiały się na przemian w pilowanie blachy za pomocą pilownika i w wyrównywaniu jej kowadełkiem i młotkiem. Zamiast ściągać i rozciągać harmonię — ramiona ćwiczyły się w wygładzaniu rys

na metalu narzędziem zwanym polerką, a z wyglądu przypominającym trochę maszynkę do mielenia mięsa. Słuch przywykły do kujawiaków i oberków, oswajał się z hukiem maszyn i zgrzytem towarzyszącym spawaniu żelaza.

Brygadzysta Juchnicki cierpliwie tłumaczy, raz jeszcze pokazuje, raz jeszcze wyjaśnia. Ale też wymaga niemało. Takiego oszukać się nie da. „On przy swoich drzwiach i w nocy by siedział” — mówią o nim chłopcy. „Tylko mu młotek do ręki — a ma swoje szczęście”. „Skaleczył się do kości, lekarz dał mu zwolnienie, a on przyszedł do pracy”. Garbi plecy, wypatruje oczy, byle tylko powierzchnia drzwi była idealnie gładka, byle tylko lakier barwy srebrzysto-szarej, czekoladowej lub stalowej nie odsonił — gdy spojrzeć z boku — żadnej najdrobniejszej wyrwy, byle nałożył się wszędzie warstwą równomierną i lśniąca, niczym tafla lustrzana. Znowu nowa cyfra w notesie i porównanie z dniem wczorajszym. „Jak piszę, to wszystko wiem” — mruczy Juchnicki — „a jak kto nie patrzy, to spada”. I myśli: Czy dadzą radę? Czy wyciągną więcej niż wczoraj? Czy zdążą?

Przybył Waldek na Żerań w okresie, kiedy dla ludzi zatrudnionych jeszcze przy budowie fabryki — jej uruchomienie stało się jak gdyby granicą dwóch epok ich życia. Gdy przyszedł tutaj ów krępy brunet z wklęsłymi policzkami, załoga składała się z dwóch inżynierów i dwudziestu robotników — „a dziś...” Gdy przyszedł tutaj dzisiejszy szef wydziału spawalnico-montażowego, żałujący, że za dużo ma lat i nerwicę żołądka, na miejscu hal były same gruzy — „a dziś...” Między owym „wczoraj” i „dziś” zawarł się trudny czas budowy, urosły dla wielu z tych ludzi do rozmiarów historii, wypełniony dla wielu z tych ludzi dniami bez wytchnienia, nocami bez snu, napięciem oczekiwań i czekaniem spełnień.

GDYBY MŁODZI WIEDZIELI

Waldek Kowalik natomiast przyszedł do fabryki już uruchomionej.

Gościnnie otwarły się przed nim przestronne, jasne, wysokie hale żerańskiego zakładu i po ojcowsku przyjął go na naukę brygadzysta Juchnicki. „Gdyby ci młodzi wiedzieli, jak myśmy pracowali — myśli często Juchnicki — gdyby wiedzieli, jak za carskich czasów w stęchliźnie i brudzie po piętnaście godzin się robiło, a tylko za osiem zarabiał; jak z Nowolipek na Plac Zbawiciela z ciężarem żelaza na plecach trzeba było chodzić; jak za sanacji chłopca w terminie miało się za bydłaka; jak majster przed czeladnikiem ukrywał swoją sztukę, żeby konkurencji sobie nie stwarzać; jak siedemnaście lat byłem bez urlopu”.

Waldek Kowalik przyszedł do życia piękniejszego.

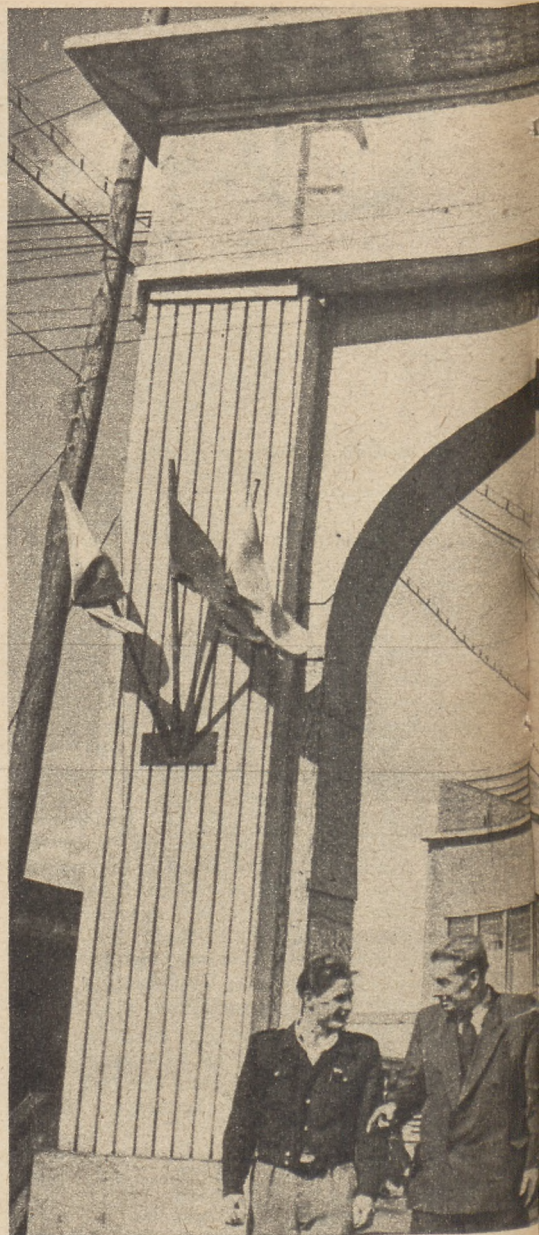
Gdy kiedyś, nasycając swą młodzieńczą żądzą wiedzy o dalekich krajach (właśnie dlatego w szkole najlepiej lubił geografie), natknął się na książkę Kischa pt. „Raj amerykański” — niewątpliwie przykuje jego uwagę rozdział o fabryce samochodów Forda w Detroit.

Przeczyta:

„Ciasno obok siebie stoją robotnicy, tak, że przez ramie sąsiada sięgają po toczącą się część składową, tuż przed twarzą sąsiada z lewej strony zaczyna swą czynność i bezpośrednio przed twarzą sąsiada z prawej strony ją kończą.”

„Dostłownie tuż nad ich głowami, gdyż muska ich włosy, toczy się conveyer, z którego na błyszczących łańcuchach zwisają rozmaite przedmioty jak ozdoby na choince.

„Każdy musi uchwycić przeznaczoną



Kowalczyk, Juchnicki i Kowalik mają jeszcze wiele rzeczy do omówienia. W

dla niego ozdobę, w przeciwnym razie conveyer mknę nieuchronnie dalej — a to by dopiero była historia!

„Dlaczego właściwie nie ma miejsca? Czy nie widzieliśmy olbrzymich powierzchni w obrębie zakładów, czy hale nie są dość wysokie, aby ruchomą taśmę ze stalowymi wisiorkami puścić w mniej niebezpiecznej odległości od głów? „Ach! Odległość to strata czasu!

„A czas to płaca. To jest powodem tego ścisku, powodem tego, że nie ma stołów ani ławek do zjedzenia obiadu, nie ma pomieszczenia, gdzie można by zmienić odzież, mało jest ustępów i umywalk, i to jest powodem zakazu palenia.

„Nie traci się ani sekundy z płacy robotnika, dniem i nocą toczy się taśma, do której przykuci są ludzie”.

I dalej Waldek przeczyta:

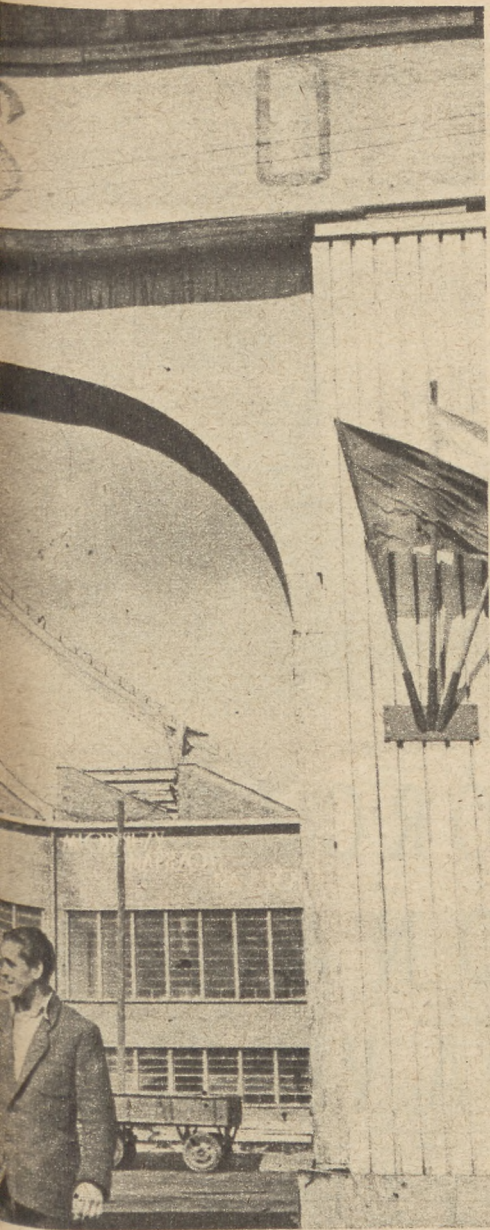
„Teraz okazuje się, że ruchoma taśma nadaje tempo pracy, a nie praca taśmie. Tylko niewielu robotników pozostanie u jej brzegu, wielu jedzie z częściami składowymi dalej, siedząc na



...a jak Waldek zacznie uczyć się grania na akordeonie, to minie cały żal...

Na bazie nowej techniki, wprowadzonej do przemysłu w oparciu o doświadczenia i pomoc Związku Radzieckiego w okresie ubiegłym, obserwujemy znaczne tempo wzrostu wydajności pracy w przemyśle socjalistycznym. Tempo to dość znacznie przewyższa tempo wzrostu wydajności, przewidziane w Planie Sześcioletnim. (BOLESŁAW BIERUT)





drodze do domu stary brygadzysta udzieli im jeszcze wielu cennych rad.

wózekkach wysokich zaledwie na trzy-
dziesiąt centymetrów, jakich używają
beznodzy żebracy; tu wloką się po zie-
mi nogi robotnika, który musi pędzić za
swoją częścią, aby ją uszczelnić, opilo-
wać i wykończyć podczas jazdy”.

WALDEK BĘDZIE WIEDZIAŁ

Czytając o owym zracjonalizowanym
wyzysku człowieka, Waldek będzie wie-
dział, że po to, by na FSO w Warsza-
wie pracowano inaczej niż u Forda w
Detroit, młodzieńcy ongiś Juchnicki
w 1905 roku kamieniami rozbijał szyby na
portretach cara. Że za powietrze, któ-
rym Waldek w przestronnej hali oddy-
cha, za przestrzeń, w której ramiona
nabierają rozmachu, za normy uzasad-
nione technicznie i ludzko, za stołówki,
szatnie, umywalki i natryski, za opiekę
lekarską, za ojcowski stosunek majstra
do ucznia — marli w sanacyjnych wię-
zieniach starzy i młodzi bojownicy.
Jeszcze dotychczas plan stopniowego u-
ruchomienia produkcji w pierwszej poi-

skiej fabryce samochodów osobowych
nie doszedł do taśmy montażowej. Lecz
gdy taśma ruszy, gdy się już rozkręci,
nie zniszczy nigdy nerwów i zdrowia
robotnika. W żadnej fabryce radzieckiej
człowiek nie czołga się za „konwe-
jerem“ i nie chwyta się kurczowo prze-
mykających części, drżąc, że swej pra-
cy nie zdoła wykonać. I na Żeraniu re-
gularnym miarowym ruchem konwejer
przywiedzie mu do rąk owoc roboty
sąsiada, by za chwilę podać go dalej.
Regularnie, miarowo zestroi się ruch
człowieka z ruchem taśmy. I bieg jej
stanie się szybszy, coraz szybszy dla-
tego, że tego właśnie zechce człowiek,
coraz bardziej w czynnościach swych
biegły i coraz bardziej świadomy, że
oszczędność czasu nie przysporzy zło-
ta takiemu czy innemu Fordowi, lecz
polepszy los ludzi o spracowanych dło-
niach.

Różnica między taśmą nadającą tem-
po pracy, a pracą nadającą tempo taś-
mie — to właśnie różnica między kapi-
talizmem a socjalizmem.

Ileż to razy Juchnicki powtarzał:

— Przed wojną to bym nawet nie dą-
żył do awansu, robiłem Bóg wie dla ko-
go, a dziś, za Polski Ludowej, to mi za-
leży, żeby być brygadzystą i żeby moja
brygada pracowała jeszcze lepiej ode
mnie.

Chłopcy patrzyli szeroko rozwartymi
oczymi.

RUSZYŁA GO AMBICJA

Sam dobrze nie wiedząc dlaczego,
Waldek zaczął mniej nieprzyjaźnie
traktować swoją fabryczną robotę. W
rękach nabrał blacharskiej nieomyln-
ości, żadnego nie przepuszczając odstęp-
stwa od dokładnej równi drzwi, więk-
sza siła wstąpiła w ramiona, szybciej
piłował, wyrównywał i polerował. Na
głowę nałożył czapkę, żeby włosy na
czoło nie spadały, i coraz uważniej
przyglądał się, jak pracuje Juchnicki.
Już mu i kujawiaki przestały dźwięczeć
w duszy melodią straconego szczęścia,
po pracy sięgał po akordeon i myślał,
że przecież blacharstwo wcale muzyki
nie wyklucza, byle się dobić i dowie-
dzieć o tę naukę. A jak zacznie uczyć
się grania, to minie cały żal. Związał
się zażyłością z wesołym zetempowcem
nazwiskiem Kowalczyk i odtąd Kowa-
lik z Kowalczykiem uznani zostali na
Wydziale za parę nierozłączną. Kowa-
lczyk, choć młody, lecz blacharz już nie-
pośledni, zasłużył raz nawet na taką
pochwałę Juchnickiego:

— Chłopak normy zawija jak choro-
ba.

Waldek ruszyła ambicja. Przecież jak
potrafi Kowalczyk — to potrafi i Kowa-
lik.

ZOBOWIĄZANIE

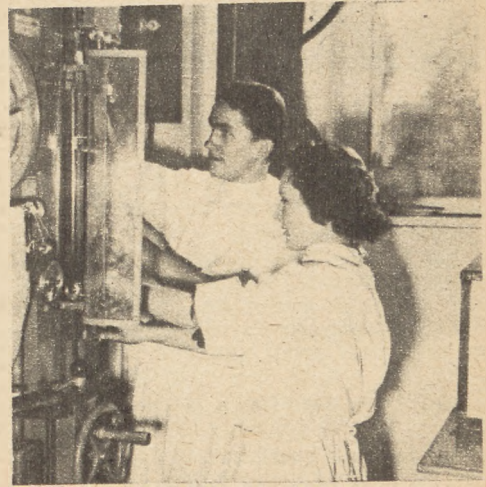
Czas nagiął. Waldek pamięta dobrze:
robotnicy na kompletowaniu każdą go-
tową parę drzwi chwyтали oburącz, nie-
mał łapczywie, jak przedmiot długo, z
wielką niecierpliwością oczekiwany.
Produkcja drzwi była bowiem „wąskim
gardłem“ na wydziale spawalniczo-
montażowym.

Skończyć z tym. Zlikwidować zagro-
żenie odcinka. Niech kompletowanie
nie czeka na drzwi. Niech drzwi czeka-
ją na kompletowanie.



...Przed wojną to bym nawet nie dążył do awansu, robiłem Bóg wie dla kogo, a dziś, za Polski Ludowej, to mi zależy, żeby być brygadystą...

Zagadnienie szkolenia i pod-
noszenia kwalifikacji nable-
ra szczególnego znaczenia w
stosunku do młodzieży. Co-
raz szerszym nurtem wpły-
wa młodzież do gospodarki
narodowej, do przemysłu.
Już na początku 1951 r. w
przemśle na 1000 zatrud-
nionych przypadało 265 mło-
dzieży — jest jasne, że
udział młodzieży będzie się
powiększał z każdym rokiem
(BOLESŁAW BIERUT)



W zobowiązaniu złotowym młodym
obiecali pomóc starsi.

W pustych kratkach notesu Juchni-
ckiego mnożyły się nowe cyfry. Star-
tym ołówkiem wpisywał je tak staran-
nie, jak gdyby złotymi głoskami kre-
ślił dzieje znakomitych czynów. Rozpa-
łał się, młodził, gdy porównanie z
dnem wczorajszym wypadało na ko-
rzyść dzisiejszego. Promieniał, gdy cy-
fry wyrażały postęp młodych. I ma-
wiał głośniejsz niż zwykle:

— Przed wojną największa chęć u
młodzieży na nic się nie zdała. Kto był
synem robotnika, ten nie mógł łądować.
A dziś każdy człowiek może nie być
szary.

I ON MA SVOJĄ HISTORIĘ

Waldek bystrzej niż dotychczas przy-
glądał się pracy własnej i kolegów.
Jeszcze niedawno, w marcu, zaledwie
jedne drzwi do porządku doprowadził
w ciągu dnia, a i to nie zawsze. Dziś
poleruje pięć lub sześć. W marcu w
pięciu ludzi wykonywali 16 sztuk na

tydzień — dziś równe rzędy gotowych
drzwi rosą o 32 sztuki dziennie. W sa-
mym maju dali fabryce sztuk 520.

I czym dla budowniczych w FSO stał
się dzień jej uruchomienia — tym stał
się dla Waldka dzień, w którym po raz
pierwszy robota jego wyraziła się wy-
soką cyfrą w notesie Juchnickiego. I w
życie Waldka wtargnęło owo „wczoraj“
i „dziś“. I on nie przyszedł do gotowe-
go. I on skoczył w przód. I on ma swo-
ją historię.

Nie wiadomo jeszcze w tej chwili czy
Waldek Kowalik zostanie wybrany na
Złot. Lecz wiadomo na pewno, że w
dniach złotych chodzić będzie po
Warszawie z podniesioną głową.

Bardzo był bowiem dumny, gdy ga-
zeta fabryczna doniosła, że brygada
Juchnickiego wykonała złotowe zobo-
wiązanie.

Rozprostowały się także przygarbio-
ne plecy Juchnickiego. Gazetę z artyku-
łem o swojej brygadzie złożył we czwo-
ro i umieścił troskliwie między kartka-
mi notesu.

FOT. P. KORNECKA



W marcu, w pięciu ludzi wykonywali 16 sztuk na tydzień — dziś ilość gotowych,
bardzo starannie wykończonych drzwi, wzrosła aż do 32 sztuk dziennie.

DELEGACI WSI

JEGO WALKA O DZIEŃ JUTRZEJSZY

Stanisław Kaczmarek ze spółdzielni produkcyjnej Zielniki, różni się bardzo od Stolarkówny. To znaczy różni się charakterem, bo ma tak jak Irena słomiane włosy i niebieskie oczy.

Stanisława Kaczmarka znalazłam w ostatnim rzędzie krzeseł na zebraniu gminnym ZMP. Rozmawiał z kolegami, kręcił się na krześle, śmiał się często i łatwo, wesołością zarażając resztę grupy. Tak śmieje się człowiek, kiedy ma czyste sumienie i spokojny dzień jutrzejszy.

A przecież życie Stanisława Kaczmarka nie było łatwe.

Ale zaczęliśmy od początku. Stanisław Kaczmarek ma lat 21. W roku 39 ojciec jego z siedmiorgiem małych dzieci przeniósł się na robotę do Zielnik. Jeszcze raz próbował zapuścić korzenie, które bez własnej ziemi lada kaprys pański mógł potargać. Przedtem rodzice Stanisława pracowali w Jaskowie przez 11 lat, ale potem dziedzic doszedł do wniosku, że ojciec — Kaczmarek jest już za stary, więc po prostu ich wyrzucił. W Babinie byli dwa lata, a potem z jedną krową, dwiema pierzynami i gromadką głodnych dzieci przenieśli się do Zielnik. Nie wiadomo, czy w Zielnikach wiek ojca oraz siedmioro zajmujących miejsce w chałupie dworskiej dzieci przypadło by do gustu dziedzicowi, ale właśnie wybuchła wojna, więc właściciel majątku zostawił ich na miejscu, natomiast sam co prędzej wyjechał. Potem ojciec umarł, a potem Stanisław zaczął zarabiać na siebie, pasąc krowy. Miał wtedy 9 lat, ale na życie patrzył poważnie.

Po wojnie dostali z parcelacji 8 ha, dzieci w końcu mogły się zacząć uczyć, nikt już ich nie gonił siłą na pastwisko. Uczyli się dobrze, nadrabiali stracone lata, które im zabrał tamten ustrój. Dzisiaj o takich, jak dwaj starsi bracia Stanisława, mówi się, że są przedstawicielami naszej nowej inteligencji. Bo jeden jest prokuratorem w Sądzie Wojewódzkim, a drugi kierownikiem propagandy w Komitecie PZPR w Jeleniej Górze.

A dalsze losy samego Stanisława? Teraz z matką i siostrą są członkami spółdzielni Zielniki, którą założono w jesieni 1950 roku. Nauczani gorzkim doświadczeniem biedy, zapisali się do niej z dużą ochotą.

Było ich na początku pięciu członków. Powiedzmy sobie otwarcie: początki były ciężkie. Spółdzielnia rodziła się wśród wahań i szeptów po kątach, mrok uprzedzeń i wroglej propagandy zaciemniał perspektywy. Ludzie patrzyli na tamtych pięciu, którzy pierwszy poszli budować spółdzielnię, patrzyli i kiwali głowami.

Ludzi więc była garstka, ziemi uprawnej 250 ha, sadu trzy hektary, etał za progiem okres siewów wiosennych, od których miało zależeć życie spółdzielni. Była to wiosna 51 roku. Stanisław wyruszył w pole jako pomocnik traktorzysty i nie wracał do domu przez wiele dni. Pracowali w dzień i w nocy. Te dni ze swego życia nazywa Stanisław „wiosną siewu pokoju”. Potem przyszły zniwa i Stanisław znów do domu nie wracał. W dzień kosili urodzaj, nocie zajmowała im „podorywka”. Noce były już chłodne, często deszcz wzmagal ten chłód poprzez mokrą odzież, kradzione kwadransy snu pod stołem były ich jedynym wypoczynkiem. Nie wiedział, ile normy wyrabia, nie było czasu pytać się o to. Dopiero o wiele później dojrzał na tablicy cyfrę „200%”. Tam na polu szła walka o każdy cetnar ziarna, o każdy zaorany hektar, o każdego nowego spółdzielcę, o tych obecnych członków, którzy wtedy patrzyli na to z boku, z nieufnością od wieków oszukiwanego chłopca.

Kiedy późną jesienią Stanisław wrócił w końcu do domu, aby się wypaść do syta, wiedział, że wygrali walkę o urodzaj w roku przyszłym. Potem zobaczył swoją fotografię w „Głosie Wielkopolskim”, dostał dyplom.

Później przyszedł skup zboża i trzeba było zdobywać nowe odcinki frontu w tej bitwie o nową wieś. Indywidualni czasem nie chcieli młócić, kułacy pokazywali podrobione kwity, a Stanisław z młodzieżą poszli po zagrodach kulać i u takiego, co pokazał kwit na 1200 kilogramów, znaleźli pięć ton. Brygada młodzieżowa Stanisława Kaczmarka odstawiła wówczas wiele dziesiątków ton ziarna do Gminnej Spółdzielni. A Spółdzielnia dostarczyła je miastu, robotnikowi i może mnie i Tobie, Czytelniku.

Teraz Stanisław Kaczmarek z Zielnik jest brygadziastą polowym w swej spółdzielni, która jest jedną z najlepszych w powiecie. Mimo ciężkiego procesu rodzenia się kolektywu, a może dzięki temu, że nie wszystko od początku było łatwe, że spojrzeli w oczy trudnej prawdziwej jako jest przebudowa gospodarstwa i samego siebie, a może właśnie dlatego — ich sad z ogrodem, który pięknieje co roku i daje co miesiąc większe dochody, każde nowe cielątko, każdy nowy dziesiątek różowych prosiąt — napędza spółdzielców z Zielnik taką radością.

Dlatego Stanisław, odznaczony brązowym Krzyżem Zasługi, może śmiać się tak, jak śmieje się człowiek o czystym sumieniu, spokojny o swe jutro.

Dlatego Stanisław Kaczmarek jedzie na Złot, jako młody przodownik walczący o przyszłość swej spółdzielni — więc o pokój.

ONA TEŻ BĘDZIE NA ZŁOCIE

— Stolarkówna? — kierownik gospodarstwa „Topola” zespołu Słupia Wielka wstał od biurka. — Pracuje dzisiaj przy pielieniu marchwi, ale to daleko stąd. Nic mi nie mówiła, że czeka na gościa.

Poznałam Irenę Stolarkę na zebraniu gminnym ZMP w Srodzie i umówiłam się z nią, że następnego dnia przyjadę do niej. Chciałam porozmawiać z tą opaloną dziewczyną o jasnych, prostych włosach ściągniętych nad karkiem w dwa małe, podobne do dojrzałych kłosów, warkoczki. Jej kandydaturę przywitała cała sala życzliwymi, dodającymi odwagi oklaskami. Lecz Irena Stolarkę stała pod ścianą czerwona i od tych rumieńców twarz jej wydawała się jeszcze bardziej okrągłą.

Instruktor z powiatu szepnął do mnie:

— To pracownica PGR-u. Pracuje drugi rok i drugi rok jest przodownicą pracy. Ale rozmawiać z nią będzie wam nie łatwo — dokończył po namyśle.

Jakby na potwierdzenie tamtej opinii, kierownik gospodarstwa już w drodze do zagonu marchwi wyjaśnił:

— Nic nie powiedziała, że macie przyjechać, a przecież widziała mnie rano na apelu. Jest już taka milcząca. Ale w pracy mogę na nią liczyć, ciągnie za sobą inne dziewczęta. To bardzo ułatwia pracę, kiedy ma się pewność, że wszystkie stawiają się rano do roboty.

Zagon marchwi wyglądał z daleka jak puszysty, jaskrawozielony dywan. Dopiero kiedy stanęłam w grupie dziewcząt, to okazało się, że dywan ten jest utkany z równiutkich rzędów delikatnie wystrzyganej naci. Był pochmurny, chłodny dzień. Taki dzień gasi zmęczenie podczas pracy. Niecierwcowy wiatr wydmuchał spódnicę idących rzędem dziewcząt.

Z tego rzędu wyszła wezwana przez kierownika Irena Stolarkę. Uśmiechnęła się do mnie, widocznie mnie poznała. Rzekła krótkie „dzień dobry” i zaraz umilkła, patrząc pytająco to na mnie, to na kierownika.

Zacząłam jej zadawać pytania, a właściwie starałam się zbudować rozmowę, aby uniknąć indagowania, aby ją ośmielić.

Więc Irena ma lat osiemnaście. Jeszcze ich wprowadzić nie skończyła, ale te kilka miesięcy!... Przed dwoma laty chodziła jeszcze do szkoły, potem zaczęła pracować w „Topoli”. Tu się urodziła, tu mieszkali jej bezrolni rodzice. Były to dobra kościelne, ale oddane w dzierżawę. W 1950 roku majątek został przekazany Państwu. Był w ruinie. Dzierżawca zostawił ciekające dachy, pustą oborę i stodołę. Na ostatek jeszcze wycisnął ile się dało pieniędzy z umierającego gospodarstwa i wyjechał. Nie wiadomo było, od czego zacząć. W tym właśnie okresie, kiedy można było stracić głowę, Irena zaczęła od tego, że wyszła do pracy. Wychodziła codziennie, regularnie, jej przykład przyspieszył w innych przemożenie nieufności do nowej formy gospodarki.

Irena od razu wyszła ponad normę: z początku uzyskała 120%, potem 132, a ostatnio przy przerywce buraka cukrowego 140% wykonania normy. Dostała premię: książeczkę PKO z 250-złotowym wkładem.

— Jak to się stało, że tak od razu wyskoczyłyście ponad normę?

Irena Stolarkę uśmiecha się, myśli chwilę, potem mówi szczerze:

— Myślę, że chciałam zarobić. W czerwcu dostałam 700 złotych. Pieniądze są nam potrzebne, bo mam matkę i czworo młodszych ode mnie w domu. Ojca zabił piorun w polu jeszcze przed wojną, prawie go nie pamiętam. Ale kierownik mówi, że dlatego przedko pracuję, bo na gadanie sił nie tracę — Znowu się uśmiecha. — Zresztą chciałam szybko robotę skończyć, bo wiedziałam, że inna czeka. W naszym gospodarstwie wszystko się waliło, wie pani, jak ten dzierżawca poszedł. Potem się okazało, że jestem przodownicą, a teraz jadę na Złot...

— Chciałybyście się uczyć dalej?

Irena znów milknie, patrzy na mnie z wahaniem, potem mówi cicho:

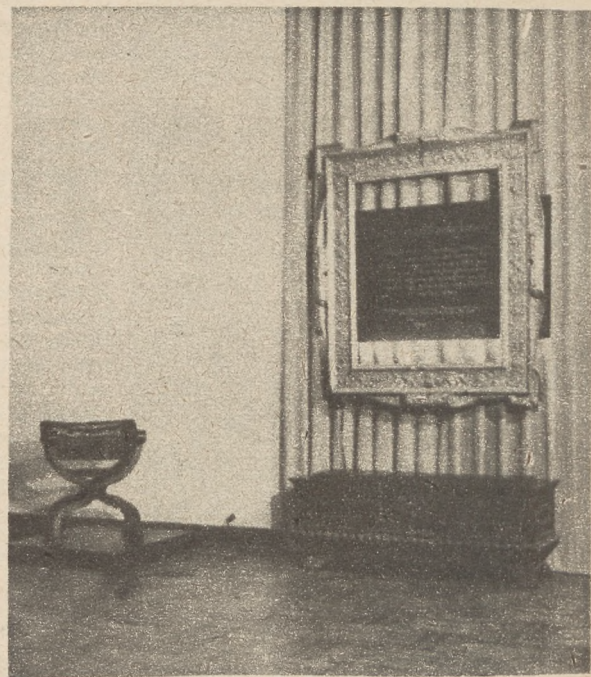
— Teraz nie mogę, ale jak małe podrosną, to bym chciała, pewnie. W szkole łatwo mi szło... — uświadamia sobie na głos. — Ale już pójdę, przepraszam, pewnie wszystko powiedziałam?

Patrzy bokiem na zagon, rząd pracujących dziewcząt oddalił się znacznie podczas mojej wizyty. Nie chcę, aby z mojej winy nie wykonała dzisiaj swoich 140% normy, więc się żegnaj z nią.

Irena Stolarkę mówi znów krótko „do widzenia”, podaje mi swoją czarną od zieleni dłoń, odchodzi śpiesznie.

Nie, nie wszystko mi powiedziała. Resztę mówię za nią kierownik, kiedy już idziemy po miękkiem od pyłu gościńcu obok ogromnej płachty seledynowego żyta. Irena jest od momentu powstania „Topoli” członkiem ZMP. Wieczorem po pracy pomaga matce, a w zimie, po krótkim 8-godzinnym dniu pracy szyje dla siebie i dla rodzeństwa; matka ją nauczyła. Na zebrania chodzi tak samo, jak do roboty, regularnie, ale głos na nich zabiera bardzo rzadko. Powoli wciąga się w życie społeczne, przemaga nieśmiałość, jest zdziwiona, że na nią padł wybór jako na uczestnika Złotu. Cieszy się ogromnie, nawet mówi o tym, chociaż jest taka milcząca.

ZOFIA BYSTRZYCKA



TWÓRCZOŚĆ LEONARDA DA VINCI WYSTAWA W MUZEUM NARODOWYM

W MUZEUM NARODOWYM udostępniono publiczności niewielką, lecz za to bardzo interesującą opracowaną wystawę poświęconą twórczości Leonarda da Vinci.

Wystawa mieści się w dwóch salach. W pierwszej pokazano obrazy włoskich naśladowców Leonarda: Marco d'Oggiono i Cezare Magni, zestawiając je z pierwowzorami mistrza. Posługując się tą metodą w kilku jeszcze wypadkach, ukazano zwiedzającym, w pomysłowy sposób, specyficzne cechy i charakter sztuki Leonarda, poprzez dzieła wzorujących się na mistrzu naśladowców i uczniów. Z drugiej strony gabłota zawierająca fotografie rzeźb i obrazów Verocchia, wskazuje na klimat, w jakim wychowywał się i rozpoczynał pracę późniejszy twórca portretu Cecylii Gallerani.

Portret ten, sprowadzony specjalnie z Muzeum Czartoryskich z Krakowa, jest punktem centralnym wystawy. Pięknie wyeksponowany na końcu osi obuszał, traci nieco przy oglądaniu z bliska wskutek błyszczącej, niestylowej ramy. Natomiast świetnie umieszczone i oświetlone są obrazy uczniów Leonarda da Vinci (B. Luini, Cezare da Sesto), znajdujące się w tej samej sali. Są tu również fotografie rysunków — świadectwa wszechstronnej twórczości naukowej i artystycznej Leonarda, oraz sztychy i ryciny według jego obrazów.

Twórcy wystawy — dr Jan Białostocki i Stanisław Zamecznik, bardzo dobrze poradzi sobie z materiałem stojącym do ich dyspozycji. Zestawienie obrazów, materiałów dokumentalnych i bibliograficznych składa się na jednolitą całość, może tylko nieco skąpa w objaśnienia i przypisy, co utrudnia trochę widzowi nieprzygotowanemu orientowanie się w materiale. W chęci przeciwstawienia się przeładowanej napisami i aż nazbyt obfitej w materiał dokumentalny wystawie Odrodzenia, organizatorzy, wystawy Leonardowskiej dali jednak koncepcję w zasadzie słuszną. Wystawa jest dydaktyczna, ukazuje problem jasno i przejrzyście. Stanisław Zamecznik, niewątpliwie jeden z naszych najwybitniejszych architektów pracujących w dziedzinie wystawiennictwa, poszukujący stale nowych dróg i rozwiązań, posiada na swoim koncie szereg znakomitych wystaw. I tym razem Zamecznik operując umiejętnie kolorem, fakturą materiałów, oświetleniem i niewielką ilością rekwizytów pomocniczych, stworzył wewnątrz o dużej kulturze plastycznej, umiejętnie wprowadzając widza w atmosferę twórczości wielkiego mistrza Renesansu.

Ien.

nasi fotokorespondenci donoszą

KTO OTRZYMA NAGRODĘ?

Najlepsze prace studentów Państwowej Wyższej Szkoły Plastycznej w Poznaniu dawno już pojechały na Wystawę Złotową do Warszawy.

Które z nich otrzymają nagrody, lub choćby wyróżnienia, trudno przewidzieć. W każdym razie można stwierdzić, że autorzy tych prac studiowali z zapałem i pilnie słuchali wskazówek profesorów. Nim wzięli do ręki pędzel, ołówek czy gład, dokładnie rozważali koncepcję artystyczną i dopiero po głębokim namyśle wybrali właściwszą drogę jej realizacji.

Poznań w wartości wysłanych prac jest już zorientowany. Pozwoliła na to wystawa zorganizowana w salach Muzeum Narodowego. W ekspozycjach przeważały rysunki. We wszystkich, czy to w krajobrazie, czy kompozycji — zwracała uwagę dobra perspektywa. Grupa drzew, tak charakterystyczna dla krajoobrazu Wielkopolski, rysowana przez studentkę III roku, Nowakównę, ma dużą głębię, tak samo w rysunku Ryszarda Skupina, studenta III roku, fabryka „nie wali” się na pierwszoplanowe postacie robotników, którzy zatrzymali się na chwilę, aby przejrzeć gazetę. Dobry jest szkic Kesickiej z III roku studiów — przedstawiający rybaka z siecią. O wszystkich rysunkach można by powiedzieć, że to „szkoła prof. Polańskiego”, jednego z najlepszych naszych techników rysunku, a równocześnie, jak się okazuje, dobrego pedagoga, który potrafił nauczyć rysunku wszystkich swoich uczniów.

Najciekawiej jednak wypadły prace młodych rzeźbiarzy. Trzej ZMP-owcy z pracowni prof. Wiśniewskiego — Kopyński, Truszyński i Kasznia — wystawili „Dyskusję nad Konstytucją”, rzeźbę przedstawiającą trzech robotników, czytających tekst Projektu Konstytucji. Teresa Michałowska, studentka III roku, dała dobrze podchwyconą w ruchu „Grabiarke”. Ciekawa jest również „Listonoszka” — praca Krystyny Hoffman. Dużo ruchu i ładne bezbłędne linie ma „Dziewczynka idąca do szkoły” — dzieło Ireny Woch. Zwraca uwagę „Agitator młodzieżowy” — Ryszarda Skupina.

Prace studentów III i IV roku studiów korygował prof. Wojtowicz, który — jak to się popularnie mówi w Poznaniu — ma szczęście do dobrych rzeźbiarzy, „wypuścił bowiem w świat” już wielu artystów zdobywających pierwsze nagrody w konkursach.

Najlepszą bodaj pracę jest dzieło Józefa Stasińskiego, ucznia IV roku studiów — „W przedszkolu”. Ciepłym, serdecznym, troskliwym ruchem ręki przedszkolanka wyciera buzię maleństwu, które musiało „zajrzeć” do spodka z zupą. Józef Stasiński kończy już swoje studia w Poznaniu, chce się całkowicie poświęcić rzeźbie i kształcić dalej w Akademii.

Poznań z niecierpliwością oczekuje na wyniki Wystawy Złotowej w Warszawie; nie trzeba oczywiście dodawać, że wychowancom swym życzy jak najwięcej nagród.

Sabina Kaszanowska, Poznań,
Zdjęcia — mgr Marian Kornicki



„W Przedszkolu”
praca J. Stasińskiego.



Ryszard Skupin kończy swą
pracę złotową — „Agitatora
Młodzieżowego”.

170 PROCENT NORMY



Po raz ósmy ludzie pracy obchodzić będą w dniu 22 lipca Święto Odrodzenia Polski. Dzień ten masy robotnicze czczą przedterminową realizacją zadań trzeciego roku naszej Sześciolatki i coraz bujniejszym rozwojem współzawodnictwa pracy.

I pracownicy polskich zakładów nie pozostają w tyle. Wśród pierwszych robotników, którzy podjęli zobowiązania lipcowe, znalazł się Marian Forys — szorowacz na oddziale mokrym Nadodrzańskich Zakładów Garbarskich w Brzegu.

Morys to znany przodownik pracy na terenie całego województwa opolskiego. On to zainicjował współzawodnictwo pracy na terenie garbarni, wciągając do niego przeszło 70 procent załogi. Od przeszło roku Forys wyrabia każdego miesiąca ponad 150 procent normy. Nic więc dziwnego, że zarobek tego przodującego robotnika wynosi przeciętnie około 2.000 zł.

Polska Ludowa oceniła nalezycie wkład pracy Forysa. Za zdobycie pierwszego miejsca we współzawodnictwie zakładowym w roku 1961 Forys został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi i zyskał zaszczytny tytuł „Przodownika pracy” przemysłu skórzanego.

Gdy przez zakłady pracy województwa opolskiego przeleciał zew podejmowania zobowiązań dla uczczenia 8 rocznicy wyzwolenia Polski, Forys pierwszy zgłosił swoje zobowiązanie. Postanowił on do końca b. r. zamiast dotychczasowych 150 — wyrabiać 170 procent normy miesięcznie, zaoszczędzić chemikaliów na sumę 4 tysięcy złotych — w skali półrocznej oraz wykonać plan roczny do dnia 1 grudnia bieżącego roku.

Na wezwanie rzucone przez Mariana Forysa odpowiedziała cała załoga garbarni, podejmując liczne zobowiązania produkcyjne i oszczędnościowe na łączną sumę przeszło 13 tysięcy złotych.

A. Liberda, Opole

CZARNE JAGODY ZA GRANICĄ

Jesteśmy na punkcie skupu PCLPN „Las” w Dzielwinie.

W podlaskich lubińskich ustawionych w równie szeregi: czarna i biała jagoda. Tu zbieracze przynoszą swój całodzienny zbiór. Czarne jagody zdobywają sobie za granicą coraz to nowe rynki zbytu, przynosząc państwu — tak cenne w okresie rozbudowy — dewizy.

Już w pierwszym dniu skupu (23 czerwca) zakupiono 111 lubińskich jagód, tj. 333 kilogramy.

Dzięki współzawodnictwu zorganizowanemu pośród zbieraczy wszystkie dostarczone przez nich jagody są czyste i suche, nadające się na eksport.

Zbieracze punktu nr 10 w Dzielwinie zobowiązali się na naradzie roboczej że dolożą wszelkich starań, ażeby w tym roku pomimo czerwcowych deszczów plon zbioru jagody eksportowej wykonać z nadwyżką.

Tadeusz Cauraj, Dzielwin,
pow. Bochnia



Pracownica „Lasu” uważa,
aby jagody były suche i czyste

KOCHAJ ZWIERZĘTA

Ten wspaniały rogatek z ufnością patrzy na ludzi odwiedzających go w katowickim ZOO. Nie mniej zaufania okazują ludziom i inne zwierzęta.

Niestety, nie wszyscy jednak ludzie na to zaufanie zasługują. Otóż niedawno zdarzył się bardzo przykry wypadek. Jakiś chuligan poczęstował małpkę „Frank” wiecznym piórem, które ona pogryzła, a stalówkę połknęła. Stalówka powędrowała do żołądka i biednej małpce z trudem uratowano życie.

Takie głupie, chuligańskie dowcipy powinny być surowo karane, a ludzie, którzy nie potrafią zachować się kulturalnie wobec zwierząt, powinni być przez dozorców ZOO z terenu ogrodu natychmiast usuwani.

Tadeusz Rzepkiewicz,
Katowice



ROŚLINNOŚĆ PLANT KRAKOWSKICH

Na wstępie przepraszam, że: 1. zamącam miły nastrój, jaki panował w dziale „Nasi fotokorespondenci donoszą” z powodu zamieszczanych tam opisów samych sukcesów w różnych dziedzinach (od hodowli platynowych lisów, aż po najnowsze odkrycia dotyczące kolebki naszej prakultury).

2. nie załączam fotografii, lecz rysunek odręczny (nie posiadam aparatu fotograficznego, choć, kto wie, czy czułość zwykłej błony filmowej zanotowałaby niektóre ze szczegółów, ważnych w sprawie o której donoszę).



Rysunek z natury przedstawia roślinność plant krakowskich, ściślej mówiąc — gatunki krakowskie wyłączone spod ochrony.

Przebywający kiedyś gościnnie w Krakowie entuzjasta starego, szlachetnego grodu, pozna bez trudu owe „ziółka”. Mimo woli spotykał je często gęsto, odpoczywając na plantach w cieniu rozłożystych kasztanów; spotkać je można i teraz.

Piszę „przebywający gościnnie”, czyli nie mieszkający stale w Krakowie, bo sami „krakowianie” zatracają nie raz ostrość widzenia. Normalne zjawisko. Dzieje się tak zwykle, gdy na coś patrzymy zbyt długo.

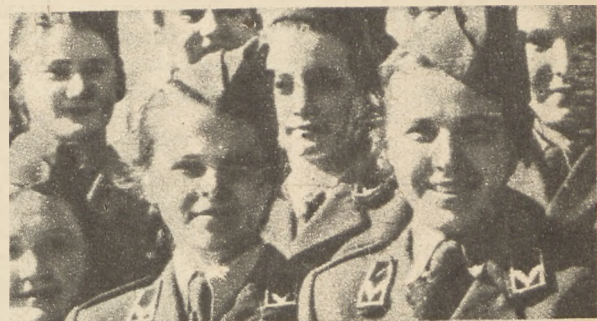
Jan Ogierek, Kraków

NAJMŁODSZE LEŚNICZKI

Oto przodownice nauki z pierwszej klasy Technikum Leśnego im. Prezydenta Bolesława Bieruta, w Mojej Woli (pow. Ostrów Wlkp.). 60 dziewcząt skończyło w czerwcu br. pierwszy rok nauki — pierwszej w Polsce

szkoły leśnej dla kobiet. Za trzy lata staną one przy leśnych warsztatach pracy, zasilając niebawem dziesiątki kadry kobiece, w tym — do tychczas „męskim” zawodem.

Stanisław Kasprzyk



FOTOGRAFIA NA CODZIEN

Lato — słońce — wczasy... Setki tysięcy ludzi z całej Polski zażywają w pełni wypoczynku, setki tysięcy ludzi miast i osiedli wyjeżdżają nad morze, nad rzeki, jeziora, do lasów i w góry. Setki tysięcy fotoamatorów „pstrykają” zawzięcie wszelkiego typu aparatami, od prostego „boxa” — aparatu skrzynkowego poczynając, poprzez różne „Doliny”, „Superby”, „Kodaki”, „Leici”, „Practiflexy”, „Reflekty”, aż na luksusowym i kosztownym „Contaxie — S” skończywszy.

W sezonie letnim zakłady fotograficzne wykonują miliony (tak, dosłownie miliony!) odbitek i powiększeń zdjęć amatorskich, lecz oglądając rezultat prac fotoamatorów, stwierdzić należy ze smutkiem, iż lwia część tych „obrazów słońcem malowanych” jest niedużana.

Gdzie tkwi przyczyna niepowodzeń potężnej rzeszy fotoamatorów?

Po obejrzeniu stert filmów dostarczonych do wywołania, nasuwają się niezbicie następujące wnioski:

1) fotoamatorzy nie znają często podstawowych zasad technicznych fotografii,

2) ci, którzy lepiej lub gorzej zaznajomili się z aparatem i techniką, unikają starannie wszelkiego wysiłku myślowego, nie uznają słusznej zasady, że nie kamera, nawet najkosztowniejsza i wyposażona we wszystkie nowoczesne urządzenia, wykonuje zdjęcie, lecz człowiek, kierujący aparatem.

A stąd płynie wreszcie trzeci wniosek: nauczyć się fotografować!

„Świat” chcąc przyjść z pomocą Czytelnikom, wprowadza na swe łamy dział porad fotograficznych. Zaczynamy od najbardziej podstawowych. Na pierwszy ogień kilka praktycznych uwag o zasadniczym znaczeniu.

1. Po wykonaniu wszystkich zdjęć na filmie, zwłaszcza na rolkach o rozmiarach 4 x 6,5 i 6 x 9 cm, w których taśma negatywowa zwinięta jest z chroniącym ją przed światłem papierem czarno-czerwonym, nie wyjmujemy jej w pełnym świetle dziennym — a nigdy w słońcu! — lecz w miejscu zacienionym; po wyjęciu z aparatu rolkę ściśle zwiniętą zaklejamy nagumowanym paskiem papieru i zawiązujemy ją w gazetę lub chowamy do pudełeczka.

W ten sposób zabezpieczamy się przed tak często spotykanym zaświeceniem błony — zaczernieniem brzegów negatywu, sięgającym nieraz daleko w głąb obrazu, co w rezultacie daje na fotografii (pozytywie) rażące białe plamy.

Również zakładania nowej rolki do aparatu nie wolno nam dokonywać na słońcu.

2) Fotografując na filmach produkcji krajowej („Film Polski”), w lipcu, w pełnym słońcu, stosujemy przysłonę „11” lub „12,5” (jedną z tych cyfr mamy wyrzytą nad obiektywem naszego aparatu i na nią przesuujemy wskaźnik przysłony), a migawkę nastawiamy na szybkość 1/100 sekundy. Przy słońcu lekko zakrytym chmurami stosujemy przysłonę „8” lub „9”, przy niebie pochmurnym nastawiamy migawkę na szybkość 1/50 sek, przysłonę na cyfrę „5,6” lub „6,3”. — W przyszłości wyjaśnimy magię tych cyfr.

3) Oszacujemy w przybliżeniu odległość dzielącą nas od fotografowanej osoby czy przedmiotu i nastawmy tę odległość w metrach na podziałce wy ciągu skórzanego mieszka lub podziałce obiektywu naszego aparatu. Nie potrzebujemy obawiać się niedokładności, gdyż przy tak silnym przysłonięciu obiektywu, które podaliśmy wyżej, nawet znaczne odchylenie od właściwej oceny odległości nie spowoduje nieostrości zdjęcia.

Tyle na początek. W następnym numerze, za tydzień, pomówimy nieco szerzej o właściwym naświetlaniu naszych zdjęć.

ODPOWIEDZI: S. K. — Warszawa, St. Rz-ski — Grudziądz, B. Grz. — Wrocław, P. Kr. — Białystok. Odpowiedzi na prośby i propozycje zawarte w Waszych listach jest właśnie nasz dział fotograficzny. Wł. Cz. — Lublin. Prosimy nadesłać omawiany film, a wówczas będziemy mogli ustalić przyczynę zła. Prawdopodobnie uszkodzony jest aparat.

DROGI NASZEGO ROZWOJU

Manifest PKWN, którego 8 rocznicę proklamowania obecnie obchodzimy, był nie tylko przełomowym aktem politycznym i społecznym, lecz równocześnie niezmiernie doniosłością aktem gospodarczym. Na mocy jego ciężki i średni przemysł, ziemia, przeszły z rąk kapitalistów i obszarników w niepodzielne władanie prawowitego gospodarza — ludu pracującego miast i wsi. Skończyły się czasy dywidend płynących do kieszeni zagranicznych i ro-

dzimych kapitalistów, skończyły się czasy wyzysku. Kopalnie, huty, stocznie i fabryki rozpoczęły służbę w interesie narodu. Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego stworzył podstawy, na których rozpoczęta mogło być gigantyczne dzieło przebudowy struktury gospodarczej państwa — z zacofanego rolniczo-przemysłowego — w kraj socjalistycznego przemysłu i wkraczającego na tory gospodarki zespołowej rolnictwa.

1944

Gdy na wyzwolonym skrawku Polski powstała władza ludowa, okupant niemiecki był jeszcze nie tylko w Szczecinie, Wrocławiu, nie tylko w Poznaniu i Katowicach, ale w sercu Polski — w Warszawie. Słowa Manifestu Lipcowego poprzez fronty i kordony wieściły Polsce wyzwolenie narodowe i społeczne. Jeszcze w fabrykach, hutach i kopalniach rządili niemieccy faszysti, a już Manifest Lipcowy zakładał podstawy pod przyszłe unarodowienie przemysłu, pod przyszły jego wspinały rozwój.



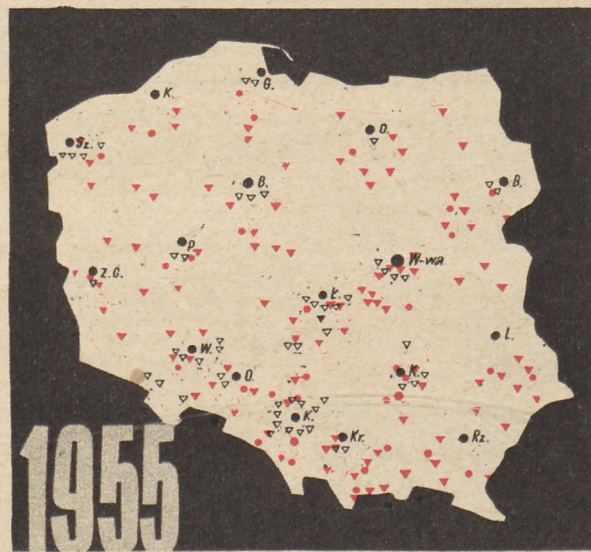
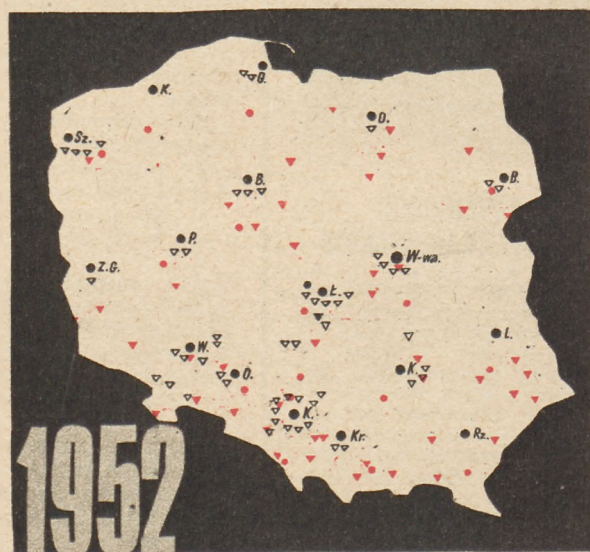
1949

88 miliardów przedwojennych złotych, czyli ponad 1/3 majątku narodowego przedwojennej Polski — tej wielkości straty zadano naszej gospodarce. Straty pośrednie, będące następstwem dokonanych zniszczeń, oszacowano na 170 miliardów złotych. Ofiarny wysiłek narodu skupionego wokół rządu i Partii, braterska pomoc Kraju Rad sprawiły, iż w ciągu 5 lat zadania odbudowy kraju w podstawowych założeniach zostały wykonane. W przeliczeniu na jednego mieszkańca, wartość produkcji wielkiego i średniego przemysłu wyniosła 250% w porównaniu do okresu przedwojennego.

1952

8 rocznicę Manifestu Lipcowego czci naród polski wykonując zwycięsko zadania Planu 6-letniego — wielkiego drogowskazu dla mas pracujących, wyznaczającego kierunek i cel rozwoju — socjalizm. To już nie okres odbudowy. W tysiącach miejsc wyrastają nowe fabryki, nowe wielkie kombinaty przemysłowe, nowoczesne osiedla, całe miasta. Jesteśmy świadkami nie tylko potężnej rozbudowy istniejących gałęzi przemysłu, ale i powstawania nowych gałęzi produkcji.

Plan 6-letni tworzy nową geografie gospodarczą kraju.



1955

11 rocznicę Manifestu PKWN ludzie pracy witać będą wykonaniem zadań Planu 6-letniego. Już nie tylko Śląsk i Wrocław, nie tylko Szczecin, Łódź czy Warszawa, stanowią będą centra przemysłowe naszego kraju: każde z 17 województw będzie wielkim ośrodkiem przemysłu. Struktura gospodarcza kraju będzie przemysłowo - rolnicza. Realizacja zadań Planu 6-letniego sprawi, iż wartość produkcji naszego przemysłu w roku 1955 będzie ponad 2,5 raza większa, niż w 1949. Osiągniemy poziom produkcji 4-krotnie wyższy od poziomu produkcji przemysłowej Polski przedwojennej.

● miasta wojewódzkie
▼ odbudowane fabryki i zakłady przemysłowe

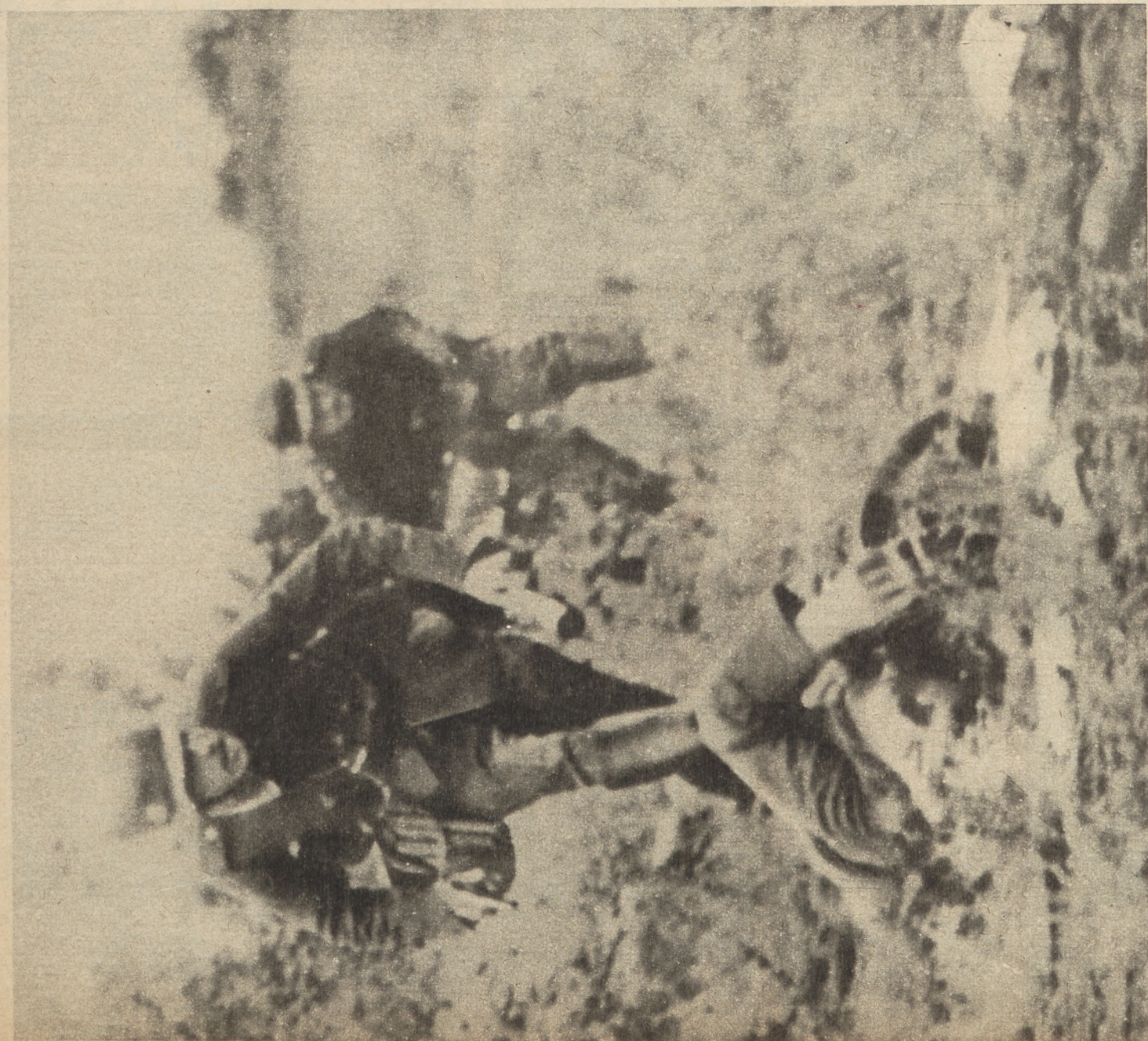
▲ nowe fabryki i zakłady przemysłowe
● nowozbudowane miasta, dzielnice i osiedla



Polska przestała być krajem biednym, bezbronny i niezadarnym. Daremne są nadzieje tych, którzy licząc na naszą słabość, szczerzą na nas grabieżcze zęby. Daremne są apetyty niedobitków hitlerowskich i ich imperialistycznych włodarzy, którzy bredzą nieprzytomnie o naszych ziemiach nad Odrą i Nysą. Miał i nie wróci nigdy wrzesień 1939 roku, minęła i nie wróci nigdy hańba bezsilności naszego kraju wobec najeźdźców.
(BOLESŁAW BIERUT)



Walka o pokój stała się dziś potężnym ruchem masowym, ruchem ogólnonarodowym, rozwijającym się zarówno w krajach niekapitalistycznych jak i w krajach kapitalistycznych, ruchem wciągającym w ogólny nurt walki narody kolonialne, gospodarczo zacofane i zależne, ruchem, w którym biorą udział ludzie różnych warstw społecznych, różnych poglądów, różnych ras, różnych wyznań. Jest to najszerszy, najbardziej masowy, najpowszechniejszy ruch społeczny, jaki istniał kiedykolwiek. Opiera się on na hasłach obrony narodów przed groźbą zagłady, masowego ludobójstwa i zdżyczenia.
(BOLESŁAW BIERUT)



Bilddokumente des

Feldzugs in Polen

FELDZUG IN POLEN

Zdjęcie powyższe pochodzi z czasów najazdu hitlerowskiego na Polskę w roku 1939. Zaczepiliśmy je z wydawnictwa pt. „Bilddokumente des Feldzugs in Polen“ (Dokumenty fotograficzne kampanii w Polsce), opublikowanego w Berlinie w roku 1940 przez Brunner Verlag Willi Bischoff.



THIS IS WAR



THIS IS WAR!

Zdjęcie powyższe dokonane zostało podczas najazdu amerykańskiego na Koreę. Zaczepiliśmy je z wydawnictwa pt. „This Is War! — A Photo-Narrative“ (Oto jest wojna! — Opowieść fotograficzna), opublikowanego w Nowym Jorku w roku 1951 przez Harper and Brothers Publishers.



TANIO i ŁADNIE



Na życzenie naszych Czytelniczek zamieszczamy dalsze modele letnie: u góry na lewo — prosta sukienka z jedwabiu w paski albo zwykłego płótna fartuchowego. Jest użyteczna i w mieście i na wczasach — no i bardzo łatwa do uszycia.

Drugi model u góry, to sukienka z jednostajnego jedwabiu, na letnie popołudnie. Duży kołnierz jest z materiału o ton jaśniejszego (może też być z białej piki). Elegancką całość uzupełniają: czarny zamszowy pasek szarfa i także zamszowe pantofelki.

Modele u dołu, to dwie proste sukienki płócienne. Model na lewo ma tę zaletę, że posiada przypinaną górę, co sprawia iż może służyć jako sukienka spacerowa i jako sukienka plażowa.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

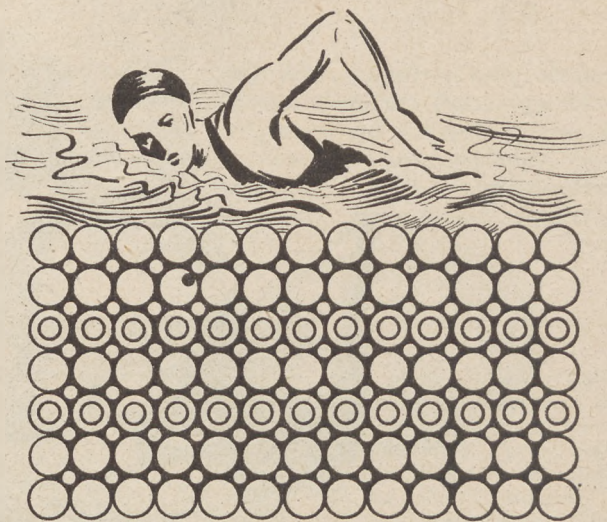
LOGOGRYF

Do pionowych rzędów podanej figury wpisać 13 wyrazów siedmioliterowych o poniższych znaczeniach. Trzeci i piąty rząd poziomy dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Przyjaciele, towarzysze, 2) żaglowiec o trzech masztach rejoyowych, pierwowzór krążownika, 3) Stolica Indonezji, 4) Główne miasto Bawarii (w piśmowni oryginalnej), 5) Przewizka, wymysły, 6) Modia, wzór, 7) Miara odległości, 8) Ciepły wiatr w Tatrach, 9) Port rybacki na wyspie Wolin, 10) Kobięce, niewieście, 11) Inaczej: ekspedycja, gromadne wybranie się, 12) Radość, zadowolenie, 13) Kawał płótna oddartego od całości.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych



SZYFROGRAM: Wspaniały dar Związku Radzieckiego olbrzymi gmach wysokościowy Pałacu Kultury i Nauki będzie symbolem przyjaźni (myśliwy, dźwięki poligon, okaryna, Izabela, Ozierow, Dunajec, skąpiec, wykłady, opuszki, Tłuszcz, bigamia, brzuchy, marmury).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr. 21 (44) nagrody książkowe otrzymują: 1) T. Bober — Warszawa, ul. Sewerynow 8, 2) M. Borkiewicz — Radom, ul. 1 Maja 72, 3)

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 21 (44)

H. Bryś — Wrocław, ul. Grunwaldzka 34, 4) C. Cieślinski — Kraków, ul. Pawia 13a, 5) M. Duda — Olsztyn, ul. Kopernika 7, 6) K. Dziewior — Wrocław, ul. Stalina 174, 7) A. Gerello — Ursus, ul. Bogusławskiego 5, 8) Z. Graefling — jedn. wojsk., 9) F. Jaroszevska — Murcki k/Katowic, ul. Katowicka 13, 10) J. Kopciński — Częstochowa, ul. Glogera 11, 11) A. Kośmider — Nowe Miasto n/Warł., 12) T. Kowalski — Warszawa, ul. Mokra 11, 13) B. Luza-

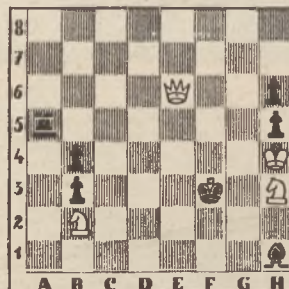
rowski — Mielec, ul. Sienkiewicza 13, 14) S. Łukowski — Cieplice śląskie — Zdrój, ul. Lipowa 3, 15) S. Michalak — Ofic. Szk. Lotn., 16) Z. Nowicki — Warszawa, ul. Komarska bż., 17) A. Samkowicz — Kraków, ul. Boh. Stalingradu 64, 18) C. Serement — Rzeszów, ul. Świerczewskiego 4, 19) E. Trzaska — Żelgoszcz, pow. Starogard, 20) I. Wążyńska — Sopot, ul. Chopina 40.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

SZACHY

ZADANIE POZAKONKURSOWE

E. Palkoska



Mat w trzech posunięciach.

Partia Nr. 31

grana w półfinale mistrzostw drużynowych ZSRR w roku 1951.

Obrona Alechina

białe: L. Aronin czarne: M. Mikenas
1. e2—e4 Sg8—f6 2. e4—e5 Sf6—d5 3. d2—d4 d7—d6 4. Sg1—f3 Gc8—g4 5. Gf1—g2 e7—e6 6. 0—0 Sb8—c6 7. c2—c4 Sd5—e7.

Posunięcie to zaleca Mikenas zamiast najczęściej gra-

nego 7... Sb6, po którym następowało zazwyczaj 8. e:d c:d 9. b3 Ge7 10. Sc3 0—0 11. Ge3 d5 12. c5 Sd7 13. b4! z przewagą białych. Jednakże dalszy przebieg niniejszej partii stawia pod znakiem zapytania słuszność koncepcji Mikenasa.

8. e5:d6 Hd8:d6 9. Sb1—c3 Se7—g6.

Czarne nie mogą grać 9... 0—0, gdyż nastąpiło by 10. Sg5! i punkt f7 pozostałby niebroniony.

10. d4—d5! e6:d5 11. c4:d5 Gg4:f3 12. g2:f3!

To nieoczekiwane posunięcie prowadzi do przewagi białych. Goniec jest potrzebny na e2, a pion f3 może mieć szersze zastosowanie w najbliższej przyszłości.

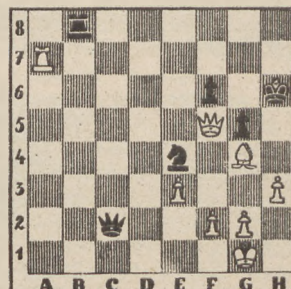
12... Sc6—e5 13. Sc3—b5 Hd6—d7 14. f3—f4 Sg6—h4.

Czarne liczą na ten wypad w związku z 15... Hh3. Z drugiej strony 14... Sf3+ 15. G:f3 H:L5 16. Wei+ Se7 17. d6! dawało dużą przewagę białym.

15. f4:e5 Hd7—h3 16. Sb5:c7+ Ke8—d8 17. Sc7—e6+!

Czarne poddały się, gdyż po 17... f:e6 18. d:e6+ nie mają żadnych szans, a niebieskie skoczka umożliwia mu 18. Sf4 z przytłaczającą przewagą białych.

NIEOCZEKIWANE ZAKOŃCZENIE



Powyższa pozycja powstała po ruchu białych w partii Ormos-Betoczky (turniej uczniów w Budapeszcie, 1951 rok). Sytuacja czarnych jest beznadziejna. Mimo to znalazły one pomysłową drogę do remisu. Nastąpiło: 1... Wb1+ 2. Kh2 Wh1+! 3. K:h1 Sg3+ 4. f:g3 H:g2+! 5. K:g2 i pat, którego białe bez straty hetmana nie mogły uniknąć.

MECZ SZACHOWY

„Świat” — Czytelniczy

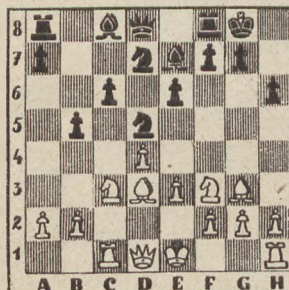
Przez miesiąc odpoczywaliśmy, a teraz — zasiadamy do szachownicy i kontynuujemy nasz mecz szachowy. Czytelnicy nadesłali w czerwcu swoje 11 posunięć. W partii W1 spośród trzynastu proponowanych posunięć najwięcej głosów uzyskało b7—b5 (38,3%), dalej Sd5:c3 (14,8%),

Sd5—b4 oraz Sd7—f6 po 9,9%. W partii W20 wszyscy niemal Czytelnicy zdecydowali się odejść skoczkiem z f6, ale wybór miejsce był bardzo różny. Tak więc Sf6—e8 zaproponowało 25,3% Czytelników, Sf6—e4 — 22,9%, na Sf6—g4 padło 19,3% głosów itd. W partii W21 przeszkło d6:e5, uzyskując

44,6% głosów, za Gc8—b7 wypowiedziało się 16,9% Czytelników, pozostałe zaś głosy padły na 12 różnych posunięć.

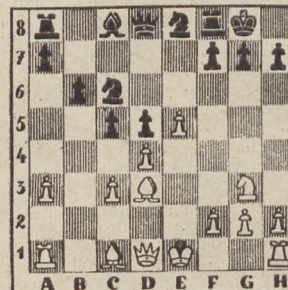
Teraz więc po uwzględnieniu 12 posunięć Redakcji, nasze trzy partie wyglądają następująco:

PARTIA W1



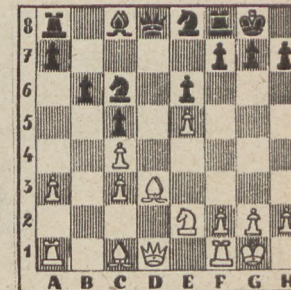
9. Gd3:c4 h7—h6
10. Gg5—h4 Sf6—d5
11. Gh4—g3 b7—b5
12. Gc4—d5

PARTIA W20



9. e3—e4 d7—d5
10. c4:d5 e6:d5
11. e4—e5 Sf6—e8
12. Se2—g3

PARTIA W21

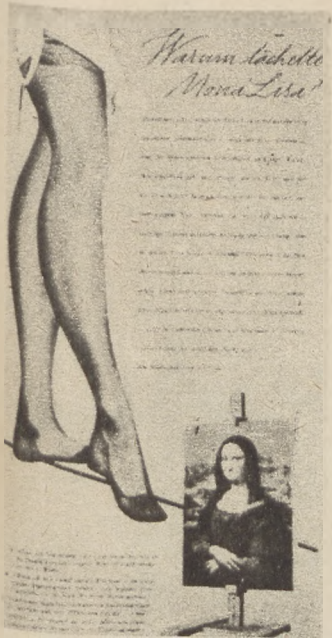


9. e3—e4 Sf6—e8
10. e4—e5 d7—d6
11. 0—0 d6:e6
12. d4:e5

Przygotowujemy, że odpowiedzi na 12 posunięć „Świata” winni Czytelnicy wysłać najpóźniej 22. VII.

SWIAT o tym wie!

JUŻ WIEMY



Całe legiony uczonych, artystów i poetów zastanawiały się przez wieki nad zagadkowym uśmiechem Mony Lizy, jednego z najwspanialszych arcydzieł genialnego Leonarda da Vinci. I dopiero teraz tajemnica została wyjaśniona!

Na pytanie „dlaczego uśmiecha się Mona Liza?” odpowiada zachodnio-niemiecka fabryka pończoch „Arwa”. Okazuje się, iż Mona Liza uśmiecha się „boleśnie” — jak głosi całostronicowe ogłoszenie — gdyż... nie znała wspólniały, najlepszych na świecie nylonowych pończoch, produkowanych przez firmę „Arwa”. „Obdarzona wiecznym kobiecy, tajemniczym wdziękiem — głosi pismo — musiała jednak zrezygnować z najukochańszych (?) przymiotów kobiecości”. Wskutek tego „nie mogła w pełni rozwinąć swej osobowości i kobiecego czaru”. Wszystko dlatego, że nie była w stanie „uszlachetnić swoich nóg najulubieńszymi w Niemczech pończochami” firmy „Arwa”. Okazuje się więc, że Leonardo nie zdołał zgłębić tajemnicy Mony Lizy, potrafiła to zrobić dopiero firma „Arwa”, której wyroby „w pełni odpowiadają psychice kobiecej”. W ten sposób narzeczcie spełniona została „misja nylonowej pończochy”.

MESSERSCHMITT PRODUKUJE

W Niemczech w okresie międzywojennym kursowała następująca anegdota: Robotnik fabryki wózków dzieciennych, Hans Mueller, zwrócił się do dyrektora, aby podarowała mu wózek dla nowonarodzonego dziecka. Dyrekcja przychyliła się do prośby robotnika i z magazynu wydano mu

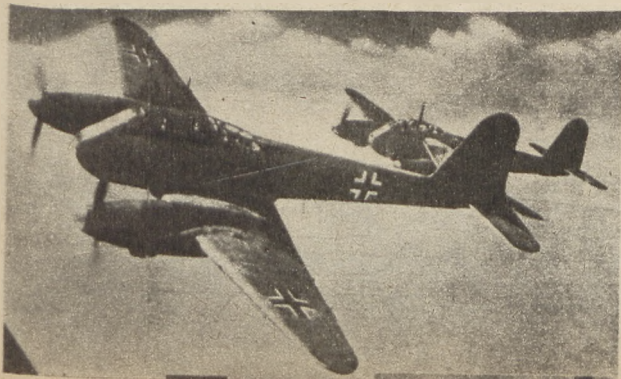
skrzynkę, zawierającą części wózka, wraz z instrukcją, jak należy je złożyć. Nazajutrz dyrektor spotyka Muellera i pyta, jak mu się wózek podoba. — Herr Direktor — odpowiada zakłopotany Mueller. — Próbowałem go składać tak, próbowałem go składać siak i zawsze wychodzi karabin maszynowy...



Messerschmitt 1952

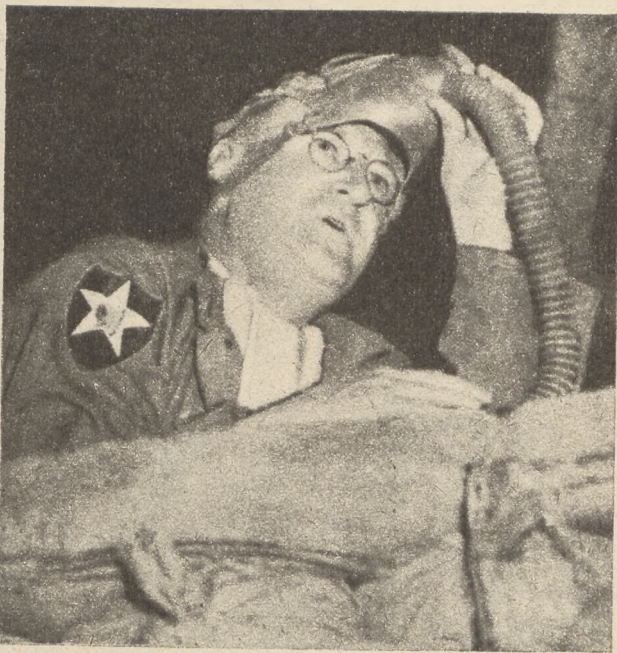
Jak donosi prasa zachodnio-niemiecka, w Trizonii uruchomione zostały zakłady firmy Messerschmitt A. G. Firma zamierza produkować zmontowane riksze, których model demonstrowa-

no ostatnio na pokazie publicznym. Będą one dostarczane nabywcom w częściach wraz z niezwykle prostą instrukcją, umożliwiającą kupującemu szybkie zmontowanie maszyny...



Także Messerschmitt

SZKOŁA TRUMANA



GEN. BOATNER
rozkazodawca

Krwawy kat Kożedo, gen. Boatner, tak oto pouczał swych podwładnych na specjalnej odprawie (cyt. według tygodnika „Time” z dn. 9 czerwca r. b.):

„W walce z jeńcami należy przeciwnika rąbać, bić kolbą karabinu, kopać w podbrzusze”.

Generał Boatner jest, jak widać z powyższego, pojętnym uczniem prezydenta Trumana. On to bowiem nie tak dawno groził „kopniakiem w podbrzusze” pewnemu krytykowi muzycznemu, któremu nie podobał się głos panny Trumanówny.



Rozkaz wykonany

W MUZEUM



Rys. J. Szymczak
Mamusiu, czy to też jest dzieło Amerykanów?

Drodzy Czytelnicy!

Zgodzicie się pewnie z nami, że dzisiaj możemy odłożyć listy, na które zdążymy odpowiedzieć w przyszłym tygodniu, i przejść się ulicami Warszawy. Bo też niezwykle są dziś te ulice. Zaroiły się rozspiewaną młodzieżą ze wszystkich stron Polski, młodzieżą ZMP-owską i niezrzeszoną, przybyłą na Złot. Jesteśmy więc razem z nią w Stolicy Złotu. Jesteśmy razem z uczniami i uczennicami w Młodzieżowym Domu Kultury, gdzie reprezentacyjny zespół „Dzieci Warszawy” przygotowuje piękny program tańca i śpiewu. Wkrótce zobaczymy ten zespół na wielkiej estradzie złotowej. Ale nie tylko. Zobaczymy ich w całej Polsce, ponieważ barwny korowód tancerzy i pieśniarzy Młodzieżowego Domu Kultury wyruszy rowerami do miast i wsi, gdzie wystąpi z bogatym programem artystycznym.

Inną część młodzieży złotowej spotykamy nad Wisłą. Tu też są na ukończeniu przygotowania do efektownych popisów sportowych i artystycznych. Ze wszystkich stron Warszawy, gdzie są punkty imprezowe, przychodzą młodzi złotowcy na ul. Miedzeszyńską do Domu Harcerza. Tu jest centrum dekoracyjne Złotu. Z dykty, płótna i papieru utalentowani dekoratorzy tworzą barwną i pomyslową oprawę plastyczną Złotu.

A na MDM-ie przodownicy pracy: Kapuśniak, Drobik i Pasek serdecznie witają swych kolegów z Katowic czy Wrocławia, zaglądających ciekawie na teren budowy. Zapewniają ich, że całość będzie „zapięta na ostatni guzik” w dniu Święta Odrodzenia. Możemy im wierzyć. Przecież tutaj właśnie, na Placu MDM, 200-tysięczna rzesza złotowców spotka się z kierownictwem Partii w czasie wielkiej manifestacji. Tędy przedefiluje młodzież, o której myślał Prezydent Bierut, mówiąc następujące słowa na VII Plenum KC PZPR:

„Coraz szerszym nurtem wpływa młodzież do gospodarki narodowej, do przemysłu... Nasze nowe zakłady przemysłowe posiadają załogi w większości młodzieżowe... Wielu młodych robotników z honorem nosi miano przodowników pracy. Wśród młodzieży z powodzeniem rozwijają się nowe metody pracy, w przemyśle metalowym młodzież zaczyna szeroko stosować metodę Zandarowej; system oszczędzania Korabielnikowej znajduje najgorętszych zwolenników właśnie wśród młodzieży”.

Jest już zmierzch. W parkach i na wybrzeżu wiślanym spacerują dziewczęta i chłopcy w szarych wiatrówkach z emblematem ZMP na rękawach. Śpiewają. Mieszkańcy Warszawy, którzy poczuwają się do obowiązków gospodarzy, nawiązują rozmowę. Mówią o Stolicy, jej pamiątkach i pięknych gmachach nowych dzielnic. Sami zaś dowiadują się o życiu i pracy tych, którzy reprezentują najlepszych spośród 4 milionów młodzieży polskiej. Tej młodzieży, która swym Czynem Złotowym przyspiesza realizację wykonania Planu 6-letniego. Idziemy z tą młodzieżą ulicami Warszawy, przejęci ich radością, świętujący ich i nasze jednocześnie Święto. Święto młodych sił, które budują i strzegą nowe życie. Zza drzew starego parku łązienkowskiego dobiega śpiew:

„Niech w ojczyźnie naszej serdecznej
rozspiewanej czerwienią flag,
cegła uśmiech podaje cegle,
elektryczność śmieje się z chat.
Chociaż nieraz serce ustaje
I źrenice zalewa pot,
Coraz mocniej bije iskrami
zaciśnięty w prawicach młot”.

„ŚWIAT”

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony:
Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88.
Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 7-52-50.
Prenumerata miesięczna: zł 4.—, — kwartalna
zł 12.—, półroczna zł 24.—, roczna 48.—.
Zakłady Wkleśtodrukowe i Introligatorskie
RSW „Prasa” — Warszawa, Okopowa 58/72
Zam. 444. Pap. rotogr. V/80-82 cm. 3-B-22477.

ŚWIAT



NA START!

SZYBOWIEC „JEDZIE” NA START. JESZCZE CHWILA
A WZNIESIE SIĘ WYSOKO W POWIETRZE IDĄC
O LEPSZE Z SÓWAMI, PTAKAMI I WIAZREM.
A PRZED WSZYSTKIM – Z WŁASNYMI KOŁEGAMI.

Pol. Koszewski